Nr. 248. Lwów — Niedziela dnia 30 Października. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową w kraju i w Austryi miesięcznie . . . [illegible]

Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: [illegible]

Nadesłane na trzeciej stronicy: [illegible]

Ogłoszenia przyjmuje BIURO DZIENNIKÓW ul. Kamila Ludwika l. 9. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: B. 22 po Św. | N. 21 po S. Ht. 4 — Jutro: św. Wolfganga | Józefa Pr.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o g. 6 m. 50 — Zachód „ 4 „ 37 — Długość dnia g. 9 m. 47 — Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Czas odnowić przedpłatę!

Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 centów.

Przegląd polityczny.

Lwów 29 października.

Jak zwalczać socyalizm? — nad tem zagadnieniem warto się zastanawiać choćby codzień i notować wszystkie usiłowania czynione w różnych krajach. Niedawno zdaliśmy sprawę z relacyi księdza Lipkego o sposobie, jakiego użyło duchowieństwo nadreńskie i belgijskie, aby zabezpieczyć lud wiejski od zabójczych skutków agitacyi wywrotowej, wiedzą tedy czytelnicy, że utworzenie po wsiach bractw kościelno-ekonomicznych dało znakomity rezultat. Teraz przytoczymy to, co o walce z socyalizmem pisze w świeżo wydanej książce „Les sociétés de secours mutuels“ gubernator belgijskiej prowincyi Hainaut p. Raul de Sart. Autor jest wielkim zwolennikiem robotniczych stowarzyszeń wzajemnej pomocy, potworzonych w Belgii na mocy ustawy z roku 1894. Udowadnia on cyframi i faktami z życia krajowego, że socyalizm, który tak gwałtownie wstrząsał Belgią, iż omal nie doprowadził jej do anarchii, począł upadać i stracił swe ostrze, odkąd rozwinęły się stowarzyszenia wzajemnej pomocy. Rzecz naturalna, że same one nie tworzą całkowitego lekarstwa na socyalizm; potrzeba jeszcze zmienić wiele w stosunkach fabrycznych i w ogóle w warunkach pracy; ale w każdym razie te stowarzyszenia sprawiły wiele dobrego. Rozpadają się one na różne oddziały; jeden zajmuje się dostarczaniem taniej a dobrej żywności, drugi udziela pożyczek do wysokości 300 franków na $1\frac{1}{2}$% przy amortyzacyi dwu lub trzyletniej ratami tygodniowymi, trzeci udziela jeszcze tańszych zasiłków w razie choroby robotnika lub śmierci kogoś z jego rodziny, czwarty jest zwyczajną asekuracyą na wypadek kalectwa lub zgonu — i t. d. Wszystkie te oddziały tworzą w gruncie rzeczy jedno stowarzyszenie, obejmujące pewien okrąg, a rozdziela się ono na departamenty tylko dla lepszego zarządu. Dozwolona jest reasekuracya Rząd uwalnia stowarzyszenia od podatku stemplowego i opłaty pocztowego porta, daje w razie potrzeby pożyczki z funduszów państwowych i prowadzi nadzór, wykonywany w każdym okręgu przez dwóch senatorów, dwóch deputowanych, delegata ministeryum robót publicznych i delegata państwowej kasy oszczędności. Pięciu członków rady nadzorczej wybierają stowarzyszeni. Fakta dowodzą, że robotnik, który się stał członkiem stowarzyszenia, zwolna coraz bardziej odsuwa się od socyalizmu.

Ciekawy jest podany przez autora szkic historyczny tych stowarzyszeń, ponieważ z tego szkicu wynika, że liberalizm jest wrogiem wszelkiej asocyacyi robotniczej. Pragnie on, aby robotnicy chodzili samopas, tworzyli w razie potrzeby tłum, ale nigdy nie tworzyli żadnej organizacyi, mającej ekonomiczny interes w utrzymywaniu spokoju i ładu. Wszelka rewolucya jest także wrogiem stowarzyszeń robotniczych, oczywiście ekonomicznych. Takie stowarzyszenia powstały we Francyi już w wieku XVI. W Paryżu istniało bractwo stolarskie imienia św. Anny, które rozwijało się tak pięknie, że w r. 1694 powstało już kilkadziesiąt takich związków; w samej stolicy było ich trzynaście. „Chociaż te związki — pisze autor — miały charakter konserwatywny, bo manie zeszedł, a nie o burzenie, to jednak one znakomicie się przyczyniły do postępu tak w rzemiosłach, jak w warunkach pracy.“ Przed wielką rewolucyą było we Francyi 137 stowarzyszeń robotniczych wzajemnej pomocy, liczących razem 70 350 członków. Rewolucya wszystkie je zmiotła, fundusze zaś przepadły. Dopiero w r. 1849 zaczynają znowu powstawać takie związki, lecz panujący wszechwładnie liberalizm stawia im ogromne trudności, których we Francyi dotąd nie przełamano. Trudności te są natury fiskalnej i jurydycznej, a więc ukryte tak zręcznie, że nie kompromitują liberałów w oczach robotników, hamują jednak rozwój stowarzyszeń. Tak naprzykład w Belgii liberalny gabinet Frère-Orbana, rządzący lat kilkanaście bez przerwy, musiał, ulegając naciskowi opinii publicznej, wnieść do parlamentu projekt normalnego statutu robotniczych stowarzyszeń wzajemnej pomocy, ale w tym statucie umieścił takie postanowienia: każdy nowy związek musi otrzymać koncesyę rządową i wykazać, że posiada majątek wartości najmniej 5 tysięcy franków; musi prowadzić księgi przez egzaminowanego przez rząd buchaltera; nie ma prawa przyjmować zapisów większych, niż 5.000 franków; nie posiada prawa „osoby moralnej“; nie może prowadzić procesów sądowych o zwrot pożyczek przed sądami pierwszej i drugiej instancyi, lecz tylko przed sędziami pokoju, których kompetencya kończy się w sprawach o kwoty większe, niż 300 franków; pożyczki robotnikom mogą być udzielane do wysokości 1000 franków. Na mocy takich statutów powstało od 1887 do 1894 związków 13, liczących razem 41 690 członków. Skutek społeczny był oczywiście bardzo nikły. Powstała wprawdzie warstewka spokojnych robotników, których jednak ogół robotniczy przezywał szyderczo „arystokratami“, ale socyalizm nie zaznał żadnej tamy. Dopiero katolicko-konserwatywny gabinet Baernaerta postanowił usunąć z normalnego statutu wszystkie przepisy, wstrzymujące powstawanie i rozwój związków, i tem właśnie oburzył liberałów, że ich przywódcy podnieśli taką burzę, że przy pomocy agitatorów socyalistycznych zdołali obalić gabinet Baernaerta. Zaledwie w cztery lata potem, mianowicie w r. 1894 gabinet Smeta przeprowadził reformę statutów, zamierzoną przez Baernaerta. We dwa lata potem było już w Belgii 756 stowarzyszeń, liczących razem 415 909 członków. Rząd ani razu nie potrzebował zasilać kas wzajemnej pomocy, procesów prawie nie ma i socyalizm wśród członków stowarzyszeń robotniczych stracił swój impet i swe rewolucyjne znamię. — Jest to rezultat godny uwagi.

Sprawa dreyfusowska nie mogła być zażegnana, chociaż upadł brissonowski „gabinet rewizyi“. Kwestya już się znajdowała na indeksie rozpraw trybunału kasacyjnego — i cofnąć jej nie było sposobu bez wytworzenia przekonania, że jest to sprawa polityczna, a nie sądowa, jaką bodaj pozornie być powinna. Wszyscy wybitni parlamentarzyści, których p. Faure powoływał do narady po ustąpieniu Brissona, oświadczyli zgodnie, że nikt się nie zdecyduje stanąć u steru z obowiązkiem stłumienia sprawy Dreyfusa, każdy zażąda pierwej uchwały trybunału kasacyjnego, który ma orzec, czy znane fałszerstwo Henry'ego i podejrzenie, że „bordereau“ pisane było nie przez Dreyfusa, lecz przez Esterhazy'ego jest dostatecznym powodem do rewizyi procesu. Dopiero po uchwale trybunału, a także po załatwieniu sporu z Anglią o Faszodę, a więc wtedy, gdy teren będzie oczyszczony ze śmieci, jakich narobił nieudolny gabinet radykałów, powstanie możność sformowania nowego gabinetu. Sprawa o Faszodę lada dzień się skończy ustępstwem Francyi; tak przynajmniej zapewniają doniesienia z Anglii, wedle których dyplomacya paryska zgadza się odwołać majora Marchanda, lecz się domaga dla swych kupców wolnej żeglugi po Nilu i wodach łączących go z rzeką Kongo. Na to Anglia przystanie bez trudu, ponieważ wogóle hołduje wolnemu handlowi, ale to ustępstwo zawsze będzie wyglądało na sukces dyplomacyi francuskiej. Co zaś do sprawy dreyfusowskiej, to podobno z racyi chciano użyć takiego sposobu przeprowadzenia rewizyi, aby nie narazić interesów państwowych, nie obrazić wojska i równocześnie zadowolić zwolenników rewizyi. Trybunał kasacyjny może tylko orzec, że trzeba przeprowadzić proces powtórnie, ale nie może podyktować sposobu, jak to się stać powinno. Otóż proponowano, aby sekretne akta pozostały tajemnicą dla publiczności. Brisson chciał, aby cały proces odbył się jawnie. Na to właśnie liczyli zwolennicy rewizyi, spodziewając się zapewne nie bez podstawy, że nastąpi raczej uwolnienie Dreyfusa, aniżeli wydanie tajnych aktów na łup powszechnej ciekawości. Byłoby więc dla nich zawodem, gdyby zgodzono się na ów pomysł dopuszczenia do rewizyi procesu, ale z wyłączeniem niektórych aktów z rozprawy jawnej. Jednakże po krótkim namyśle uznano ten pomysł za zły, ponieważ nie ulega wątpliwości, że po takiej rewizyi nie ustałaby kampania dreyfusowców, która i bez tego już cztery lata zakłóca spokój Francyi. Z takiego położenia jest tylko jedno rozumne wyjście: kapitulacya przed dreyfusistami. I o to trybunał kasacyjny podobno orzeknie, że nie potrzeba żadnej rewizyi, ponieważ Dreyfus nie popełnił czynu, za który go skazano, a że nie popełnił, tego dowodzi fakt, iż „petit bleu“, to jest pneumatyczna kartka korespondencyjna ze słowami napisanemi wrzekomo przez włoskiego pełnomocnika wojskowego Panizzardiego do francuskiego majora Schwarzkoppena: „Ta kanalia D“ sfałszował Henry, i że „bordereau“ prawdopodobnie pisał Esterhazy. Skoro te dwa dowody winy odpadają, to i winy nie ma, a więc bez nowego procesu uwolnić Dreyfusa. Podobno tak się stanie. Mniejsza o to, czy to będzie zupełnie zgodne ze sprawiedliwością: Francya pozbędzie się tej okropnej zmory, republika ocaleje, — czy tylko na długo?

Dyskusya o dżumie.

Piszą nam z Wiednia, 28 października:

Jak przewidywaliśmy, wczorajsza dyskusya parlamentarna o dżumie okazała się co najmniej zbyteczną pogadanką de omnibus rebus et de quibusdem aliis. Wprawdzie minister oświecenia hr. Bylandt i referent sanitarny w ministeryum spraw wewnętrznych dr. Kusy wygłosili bardzo ciekawe mowy. Ale główne zasady krótko i węzłowato był nakreślił prezes gabinetu w swej odpowiedzi na interpelacyę Gregoriga, szczegóły zaś, któremi wczoraj minister oświecenia i dr. Kusy wypełnili te kadry, nie były nowe, lecz powszechnie znane z różnych publikacyi tutejszych czasopism medycznych, względnie z wynurzeń lekarzy. Antisemitom Gregorigowi, Schneiderowi i Steinerowi chodziło jedynie o pretekst do hecy przeciwko żydom, a może jeszcze więcej o sposobność dokuczenia radcy Nothnaglowi, który wprawdzie nie jest żydem, ale umiał na siebie ściągnąć namiętną nienawiść tych panów. Ostatecznie dr. Lueger jako mowca jeneralny usiłował nieco złagodzić wrażenie wynurzeń swych „przyjaciół politycznych“, chociaż także dopuścił się wielkiej przesady, twierdząc, że liczne rodziny ze strachu przed dżumą opuszczają Wiedeń. Strach ten istniał tylko w pierwszych dniach, ale obecnie stanowczo przeważa tutaj zdanie, że zaraza w żadnym razie nie rozszerzy się po za koła osób, które zetknęły się bezpośrednio z pierwszą ofiarą dżumy. Także pp. Fournier, Jarosiewicz, Daszyński, Chiari i Wrabetz, który odpowiadał na płytkie wynurzenia antisemitów, nie podnieśli dyskusyi na znacznie wyższy poziom. Jako jedyny pozytywny jej rezultat możnaby uważać skonstatowanie niezmiernie nędznych stosunków w głównym szpitalu. O tem jednak rozprawiano w parlamencie już od 10 lat. Od dawna konieczność wybudowania nowego szpitala jest tutaj powszechnie uznaną. Minister Madeyski zajmował się gorliwie tą sprawą. Także pod tym względem wczorajsza dyskusya nie dostarczyła żadnych nowych argumentów. Fakt, że w tych rozprawach nie brał udziału ani jeden poseł prawicy, potwierdza wczorajsze nasze uwagi o jałowości podobnych dyskusyi.

Dywersya wielkich właścicieli wiernokonstytucyjnych i grupy Mauthnera w głosowaniu nad wnioskiem Mengera w komisyi ugodowej, rozbiła organizacyę lewicy. Klub niemiecko-narodowy odwołał swych delegatów ze wspólnej konferencyi. Za tym przykładem poszła frakcya Luegera. Stronnictwo postępowe uchwaliło rezolucyę, wypowiadającą życzenie, aby pomimo rozbicia wspólnej konferencyi, nie ustał związek stronnictw opozycyjnych. Klub wielkich właścicieli wiernokonstytucyjnych wyjaśnia dziś swe zachowanie się w N. W. Tagblatt przypominając, że od samego początku nie dążył do utrudnienia wszelkiej ugody z Węgrami, lecz do naprawienia projektów ugodowych. Naprawdę zaznaczył się ponownie naturalny antagonizm pomiędzy klubem niemiecko-narodowym i chrześcijańsko-socyalnym z jednej strony, a trzema frakcyami, które aż do roku 1896 tworzyły tak zwaną „zjednoczoną lewicę“. Dwa pierwsze kluby obejmują żywioły stanowczo radykalne. Trzy inne frakcye składają się z żywiołów liberalnych mniej więcej umiarkowanych. Jedynie rozporządzenia językowe sprowadziły sztuczny związek tych dwóch wrogich obozów. Mądra polityka powinna dążyć przedewszystkiem do rozszczepienia tego związku i wyzyskać należycie symptomata tego pomyślnego zwrotu. Także klub młodoczeski i katolicka frakcya ludowa ogłaszają dziś rezolucyę. Uchwała katolickiej frakcyi ludowej brzmi ogólnikowo. Można z niej wyczytać najsprzeczniejsze rzeczy. Rezolucya klubu młodoczeskiego staje wyraźnie na stanowisku — postulatowem! Dowodu szczególnej harmonii i ścisłości organizacyi prawicy [illegible] rezolucyach. Raczej jedna, jak druga frakcya staje pod hasłem: „fara dase“ *).

W numerze 136 *Przeglądu* pod napisem „Słoweńsko-chorwackie fantazye“, objaśniliśmy rezolucye zjazdu radykałów chorwackich i niektórych posłów słoweńskich, który się odbył w Susaku (Tersato) w pobliżu Rieki. Sprawa ta dostąpiła już echa w sejmie węgierskim. Przedwczoraj Polonyi wniósł interpelacyę z powodu tego zjazdu. Wczorajszy artykuł wstępny *Lloyda* peszteńskiego nakreśla zasady, które niezawodnie baron Banffy wygłosi, odpowiadając na interpelacyę Polonyiego.

*) Włoskie hasło rewolucyjne z r. 1848, mające oznaczać, że Włochy same, bez niczyjej pomocy, wywalczą sobie niepodległość.

W sprawie X. Bilakiewicza.

W numerze 277 *Syna Otieczestwa* z dnia 25 bm. znajdujemy list, z polecenia biskupa kowieńskiego X. Pallulona wystosowany do redaktora tego pisma przez sekretarza X. kan. Karasia. List brzmi, jak następuje:

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Do redakcyi gazety *Świet*, z powodu artykułu o X. Bilakiewiczu, wysłałem w dniu 8 bm. załączone w kopii przy niniejszem sprostowanie. Do tej pory jednak zaprzeczenie to pomienionej gazecie zamieszczone nie zostało. W obec tego zwracam się do Szanownego Pana z prośbą o wydrukowanie w dzienniku Pańskim załączonego wyjaśnienia. Proszę przyjąć zapewnienie zupełnego mego szacunku.

Kanonik *A. Karaś.*

Kopia posłanego do *Śwista* zaprzeczenia brzmi:

Panie Redaktorze!

Z polecenia telszewskiego rzymsko-katolickiego biskupa Pallulona upraszam Pana na zasadzie ustawy o umieszczenie w najbliższym numerze Pańskiego pisma następującego zaprzeczenia:

Z pośród przytoczonych w korespondencyi z Kowna w Nrze 247 *Śwista* wiadomości o sprawie jednego z wikaryuszów przy kościele św. Trójcy w Kownie X. Bilakiewicza i opinii z tego powodu wypowiedzianych w artykule, wydrukowanym w tym samym numerze, prawdą jest tylko to, iż X. Bilakiewicz, unoszony zbyteczną gorliwością w staraniu o poprawę swoich moralnie upadłych parafian, pozwolił sobie, niestety, idąc za głosem fałszywego przekonania, na stosowanie względem osób szczególnie zepsutych, nieodpowiednich i zasługujących na potępienie godnych środków kary fizycznej.

Reszta opowiedzianych w korespondencyi rzeczy, a mianowicie o mękach na podobieństwo średniowiecznych urządzonych, o motywach politycznych, jakie rzekomo ks. Bilakiewiczem kierowały, o prześladowaniu przezeń parafian [illegible], o tem jak jakoby ... z Rosyanami i prawosławnymi, [illegible] ks. Bilakiewicza rzekomo oświadczonych, albo obłąkanych od mąk — dalej o jakiejś agitacyi katolickiej, oraz o intrygach w celu wyswobodzenia ks. Bilakiewicza, o włożeniu przez ludność katolicką żałoby w Kownie i poście — wszystko to jest poprostu wymysłem.

Niezgodne są również z prawdą wypowiedziane z powodu tej sprawy w artykule twierdzenia, uogólniające ten pojedynczy, wyjątkowy wypadek, a prowadzące do wniosku, że podobne czyny popełniane były także przez innych księży w innych, niewymienionych kościołach; nieprawdziwem jest również twierdzenie, jakoby bezprawne postępki ks. Bilakiewicza były wiadome władzy dyecezyalnej i przez nią były pochwalane i tolerowane. Twierdzenia te są [illegible] Bilakiewicz znajduje się obecnie w rękach sądu, który nie omieszka wyjaśnić prawdziwego charakteru i znaczenia tej smutnej sprawy, fałszywe zaś wieści i dowolne uogólnienia, wątpić należy, czy mogą przyczynić się do tego.

Pozwalam sobie mieć nadzieję, że wszystkie gazety, które powtórzyły wiadomości *Śwista* o tej sprawie w poczuciu bezstronności, nie odmówią zamieszczenia niniejszego z woli władzy dyecezyalnej wystosowanego wyjaśnienia.

Sekretarz telszewskiego rzymsko-katolickiego biskupa kanonik *Karaś.*

Co i o czem piszą.

Czas zamieścił doskonały list ze wsi o nędzy ludu w Galicyi, w którym autor zwraca przedewszystkiem uwagę ogółu na dwie legendy, jakie od dłuższego czasu krążą w naszym kraju, a które żadnej nie mają podstawy. Jedna przedstawia w jaskrawych barwach i przesadnych kształtach wzmagającą się nędzę ludu wiejskiego — druga opowiada dziwne historye, wysnute z urojenia, o jakichś krzywdach, ucisku i poniewieraniu warstw ludowych przez wyższe warstwy społeczeństwa wiejskiego. Autor nie przeczy, że Galicya na-

---

16)

DOBRE ZIARNO.

POWIEŚĆ

przez

ALCES.

(Ciąg dalszy).

V.

Niefortunną powierzchownością obdarzyła Opatrzność wchodzących właśnie do salonu Izy, ks. Trockich tak podobnych do siebie jak dwie krople wody, co tylko rodzeństwu bez śmieszności uchodzi. Oboje mali, nieforemnie zbudowani, wielkie mieli głowy, krótkie nogi, śniadą cerę a płowo-siwe włosy. Różnili się tylko oczami a raczej ich barwą, bo znowu ten sam dobry i poczciwy wyraz lśnił tak w jasnych oczach księżnej jak w czarnych źrenicach jej męża. Jeżeli jednak na pierwszy rzut oka, widok tej pary wywoływał złośliwy uśmiech na usta, tłumiła go choćby przelotna znajomość tych zacnych, nad nikogo się nie wywyższających i nikim nie gardzących ludzi. Zdawna już zamieszkali w Z.; bezdzietni i nieposiadający bliższej rodziny, ks. Troccy poczuwali się do pewnych obowiązków względem mieszkańców tego miasta. Dla ubogich i nieszczęśliwych nie szczędzili hojnej jałmużny, pomocy i pociechy; znajomych i przyjaciół chętnie gromadzili w swym domu, przyjmując bez zbytku wprawdzie, choć na przepych nawet stać ich było, ale z serdeczną gościnnością. Dwa razy w tygodniu otwierały się ich salony dla całego zebranego w Z. towarzystwa a szczególnie dla młodego świata, cieszącego się wielką sympatyą starzejącej się pary.

W parę dni po rozmowie Izy z Laurą a od czasu której nie spotkały się jeszcze, odbywał się u Trockich tygodniowy tańcujący wieczór. Przybyła nań i Iza, której mąż dbał niesłychanie o jej dobre stosunki z Trockimi. Zaledwo nawiązane, ścieśniły się prędko tem łatwiej, że Troccy i Iza symatyzowali z sobą bardzo szczerze i cenili się wzajemnie. Pani Ilnicka nie byłaby kobietą gdyby od chwili uczynionych jej przez bratowę zwierzeń myśl jej często nie powracała do nich i nie obudziła w niej ciekawości wiedzenia jak się zakończył cichy dramat życia Laury. Postanowiła nigdy jej o to nie pytać, nigdy najlżejszą wzmianką nie przypomnieć jej tej rozmowy, wiedząc że zwierzenie wtedy tylko nie boli gdy odbierająca je osoba osłoni go szatą zapomnienia. — Mimo to, całe urywki z tej rozmowy powracały jej co chwila na myśl i co chwila stawiała sobie pytanie, kto był ten tak gorąco przez Laurę ukochany? Dziwnem się jej zdawało że człowiek zdolny obudzić tyle prawdziwej miłości nie zwrócił jej uwagi, nie wyróżnił się z reszty towarzystwa, to też siedząc na jednej z kanapek ustawionych w zaokrągleniu ogromnej balowej sali pałacu Trockich, pierwszy raz może z rzeczywistą ciekawością przyglądała się wchodzącym mężczyznom. Zaglądali tam ojcowie tańczących córek, mężowie flirtujących żon, wreszcie zwykli danserzy na prawdę tańcami i ich porządkiem zajęci, ale w tych przedstawicielach trzech niemal generacyi nie mogła dopatrzeć żadnego któryby na bohatera tej tragicznej miłości wyglądał. Zdawało się jej że musi on być koniecznie innym, odrębnym od tych wszystkich zwyczajnych ludzi przesuwających się przed jej oczyma. — Nie zdawała sobie z tego sprawy że innym, odrębnym niezwyczajnym jest niemal każdy człowiek dla kochającej kobiety. Poczęła myślą przebiegać wszystkie widziane dotąd twarze i zadumała się nagle. Stanęła jej bowiem w myśli twarz Witolda G. i przypomniała sobie że często widywała go przy Laurze, nie dalej jak zeszłego wtorku u Trockich, ale że na zbliżenie się tych dwojga ludzi niezwracała dotąd uwagi. Przypomniała sobie dalej że kiedy, w ten właśnie wtorek opuszczając salę balową przechodziła koło nich, Laura rzuciła jej serdeczne — Bon soir petite Hermine, a ona zwróciwszy się w ich stronę spotkała się z życzliwie patrzącymi na nią oczyma tej pary, i przyjaznem im odpowiedziała skinieniem. Znała wprawdzie nazwisko towarzysza Laury, ale więcej nic o nim nie wiedziała. Bywał u niej rzadko, w ogóle bywał nie wiele i nie miała nigdy sposobności powiedzenia mu lub usłyszenia od niego czego innego, jak zwyczajnej powitalnej lub pożegnalnej formułki. Nawet głos jego nie utkwił w jej pamięci, zapamiętała tylko smutny wyraz jego popielatych oczu i mimowolnym ruchem zwróciła głowę ku kanapce na której przed tygodniem oboje z Laurą siedzieli. Na tem samem miejscu siedział ten sam mężczyzna tylko siedział sam i niedbale oparty o poręcz kanapki patrzył przed siebie wejrzeniem, o którem na pierwszy rzut oka wiedzieć można było, że nie widzi tego na co patrzy. Był to smukły szatyn lat trzydziestu najwyżej o pięknej twarzy, z młodzianym wyrazem, o pięknie wykrojonych ustach, o smutnych, teraz nawet dziwnie ponuro patrzących oczach. Jeżeli Laura wyspowiadała się już przed nim z swej przeszłości, czyż to możliwe by on tu tak obojętnie siedział, ani ruchem żadnym, ani spojrzeniem nie zdradzając najmniejszego niepokoju, w jakiby go wprawić musiało lada chwila możliwe wejście jej do sali balowej? Jeżeli to on, a Laura wytrwała w postanowieniu, cóż on tu robił? — powtórzyła w myśli. — Czyż to być mogło, by wyznanie które łamało życie i serce biednej kobiety, tak małe na nim zrobiło wrażenie że nie potrzebował nawet nic zmienić w zwykłym trybie swego życia?

W tej chwili, młodzieniec nie wiedząc o tem, że jest tak uważnie obserwowany, zwrócił smutne oczy na puste miejsce koło siebie i błysnęło w nich nagle tyle zawiści ile żalu, brwi ściągnęły się żywo, jakiś kurcz wykrzywił całą twarz, przecinając szeroką bruzdą czoło, które parę razy gwałtownym ruchem przetarł ręką. Zerwał się z miejsca a spostrzegłszy Izę, zawahał się w pierwszej chwili, jakby chciał powitania z nią uniknąć, ale w mgnieniu oka zmienił widocznie postanowienie i zrobił parę kroków w jej kierunku.

— Czy mogę liczyć na pana, panie Witoldzie, jutro u siebie? — zastępując mu drogę, zapytała, zaróżowiona tańcem, młoda blondynka o ptasim wyglądzie i cieniutkim głosie.

— Niestety, nie, pani — odrzekł zagadnięty — wyjeżdżam tej nocy.

— Jakto? Dzisiaj przed końcem karnawału? Szkoda! — A sama nie wiem dlaczego szkoda, bo właściwie co my z pana mamy za pożytek? nie tańczy pan z nikim, nie rozmawia, chyba — dodała, patrząc mu impertynencko w oczy — chyba z Laurą! — i rzuciwszy tych słów kilka, frunęła dalej.

Iza słyszała tę rozmowę i zauważyła, że wymówione imię odbiło się lekką bladością na twarzy Witolda.

Gdy ją przywitał i zapytał, czy wolno usiąść koło niej, bardzo łagodnem wejrzeniem i ruchem wskazała mu miejsce obok siebie. Po dłuższej obserwacyi sądziła go już inaczej i nie wątpiła, że cierpi, że jest bardzo nieszczęśliwy, że nie przyszedł tutaj z przyzwyczajenia czy obojętności, ale że może przyszedł szukać wspomnienia chwil lepszych, odblasku czaru szczęścia minionego. I wdzięczną mu była za to cierpienie, jako za winny hołd złożony bardziej cierpiącej, a nieobecnej.

— Pan wyjeżdża? — zaczęła Iza.

— Tak, pani, a nie mogąc się doczekać godziny pociągu — przyszedłem tutaj, aby ten długi czas skrócić.

— Tak panu pilno nas opuścić? — niepochlebne to dla Z. i jego mieszkańców. —

Ale zostawię ich bardzo obojętnymi, zresztą w mojej chęci znalezienia się jak najprędzej i jak najdalej stąd jest zarazem tyle chęci znalezienia się daleko od siebie, że ten pośpiech mnie samemu najmniej pochlebia.

— Więc pan sądzi, że zmiana miejsca i oddalenie potrafi oderwać i oddalić człowieka od samego siebie? Wszak to, co mamy najbliższego sobie, czy to ból, czy szczęście jest z nami tak zrosłe, że jak cień własny nam towarzyszy.

— Mówi pani z takiem przekonaniem, jak żeby pani wiedziała, co jest ból.

— A nie wiedziała, co szczęście? — dokończyła Iza.

— Jak gdyby pani — ciągnął dalej — była zmuszoną kiedy uciekać przed nim.

— Wiem, co to ból, ale widząc, czem jest, nie uciekałam przed nim nigdy.

— To zależy od natury bólu, są cierpienia, katusze niemal, którym poddanie się i znoszenie ich jest niegodne człowieka, takie trzeba z siebie zrzucić w to błoto, z którego powstają.

Mówił przyciszonym lecz namiętnym głosem, w którym drgało więcej nienawiści, obrzydzenia, wstrętu, niż żalu. Iza odczuła to tak boleśnie za Laurę i umilkła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

leży obecnie do najuboższych krajów w Europie (głównie dlatego, że pozostaje wciąż w stadyum pierwotnej i jednostronnej produkcyi rolniczej) — ale dowodzi, że cierpią z tego powodu wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, a nie tylko sam lud. W biedzie i w kłopotach pogrążona jest znaczna część większej i cała średnia własność gruntowa; w biedzie i w kłopotach znajdują się średnie i niższe warstwy mieszkańców miast. Jakkolwiek po paszkwilu „Nędza w Galicyi“, rzuconym przed dziesięciu laty przez p. Szczepanowskiego na nasze społeczeństwo, posypało się mnóstwo broszur i artykułów, biorących lud w obronę, to przecież wiadomą jest rzeczą, że stosunkowo stoi on bardzo dobrze. Nie mówi już autor o losie fornali dworskich, gdyż dyskusya jaka się wywiązała w dziennikach z powodu artykułu p. Pazyny dowiodła iż są oni lepiej sytuowani, niż n. p. drobni właściciele ziemscy, że wyglądają dobrze, są silni i lepiej odżywiani niż samodzielni gospodarze na swych zagrodach, ale wykazuje, że na ogół biorąc nie ma między ludem takiej nędzy, o jakiej niektórzy rozpowiadają. Dość naprzykład spojrzeć na dziatwę lub parobczaków naszych górali, którzy wyrośli na żurze i placku owsianym i porównać ich zwinność, siłę, rumiane oblicza i jędrne ciało, z młodzieńcami i dziatwą wyższych stanów, wykarmionych niby staranniej, aby się przekonać że tak źle nie jest. Zresztą choć nasz lud odżywia się (zwłaszcza na Rusi) nieodpowiednio, to czyni to nie tyle z konieczności ile z przyzwyczajenia. Wszakże gdy skutkiem synodu unickiego we Lwowie, którego orzeczenia potwierdził Rzym niedawno — uchylono zbyt surowe posty, powtarzające się cztery razy do roku, lud mimo zachęty duchowieństwa do tych zwolnień zastosować się nie chciał, bo do postów nawykł; woli on mało robić i mało jeść. W końcu pisze autor owego artykułu tak:

Nie mam pod ręką dat statystycznych, siedząc na wsi, ale znam lud nasz w różnych okolicach kraju. Nikt nie powie, aby lud podolski miał brak chleba. Znany jest dobrobyt włościan w okolicach Przemyśla, Jarosławia i Rzeszowa. Od Sanocka, Krosna, Jasła, po Gorlice rozciąga się okolica naftodajna, a tam miliony krajowych i obcych przedsiębiorców spłynęły pomiędzy zarobników górniczych, przypływają także krocie z Ameryki. Tam włościanin nie tylko setkę, ale tysiączkę często pokaże, a znam wypadek, że jedna gmina złożyła kilkadziesiąt tysięcy zadatku w zamiarze kupienia dóbr od rządu. Z pod Mielca, Tarnobrzegu, Rozwadowa, gospodarze chętnie puszczają się w dalsze strony, aby kupować folwarki na podział. — W Tarnowskiem, Bocheńskiem, Brzeskiem, Dąbrowskiem, a nawet w Limanowskiem i Nowotarskiem, parcelowane wsie znajdują łatwo nabywców wśród włościan. — W Wadowickiem i Bialskiem czynsze gruntów, wydzierżawionych włościanom, do wygórowanych dochodzą cen.

Zapewne są okolice uboższe, górzyste lub piaszczyste, gdzie za każdym rokiem nieurodzaju powraca głód. — Wszędzie zaś jest gęsta ludność agrarna, liczniejsza niż w jakimkolwiek kraju; nadrost ten ciągle się wzmagający w braku fabryk i przemysłu, powoduje owe gminoruchy, bądź to emigracyj zamorskich, bądź to chodzenia za zarobkiem na Szląsk, do Pesztu, do Niemiec i do Danii. Przyznaję ujemne i groźne strony tego przepływu ludności, nie przeczę niebezpieczeństwu zbytniego rozdrobnienia ziemi na zagony, przyznaję wyzysk żywiołu, który wódką i kredytem niszczy ludność wiejską, jak podkopuje znów kredytem i monopolem handlowym większą własność.

Z tego jednak pospiesznego przeglądu różnych okolic kraju wynika wniosek, że owa straszna nędza ludu wiejskiego w połowie jest legendą, że od niej znaczna część kraju jest wolną. Gdybyśmy ściśle oznaczyli granice okolic uboższych i zamożniejszych, i zakreślili mapę ruchu ludowego, doszlibyśmy do bardzo dziwnych obserwacyj, a mianowicie okazałoby się, że zarówno emigracya zaatlantycka, jak ruch ludowy objawiający się na wiecach i w zaburzeniach, jakie były ich następstwem, szerzyły się nie w uboższych, lecz właśnie wśród bogatszych okolic.

Jaki stąd wniosek? Oto ten, że zarówno ajenci amerykańskiej emigracyi, jak ajenci ruchu ludowego, nie szukają biednej ludności, aby jej przynieść ulgę lub pocieszenie, ale szukają włościan zamożniejszych: pierwsi w celu prostego wyzysku, nadzieją złotych gór po za morzami; drugim zaś nie chodzi o podanie kordyału na istotną nędzę, lecz o bałamucenie głów tym, którym przy dobrobycie przybywa fantazyi.

Obok książki p. Szczepanowskiego, tak często cytowanej z upodobaniem przez dzienniki rosyjskie, książki, która w najlepszej intencyi dała popęd rozlicznym wywodom o drugiej Irlandyi, jest inne jeszcze źródło owej legendy o wzmagającej się nędzy ludu wiejskiego. Źródłem tem — beletrystyka. — Nie wyjmując najznakomitszych z pomiędzy naszych powieściopisarzy, cały legion autorów i autorek rzucił się na temat czarnej, beznadziejnej doli ludu wiejskiego — gdzie nikt nie, przyjdzie z pomocą, z radą, z ratunkiem: ani dwór ani pleban, ani rząd, ani autonomia, ani żaden anioł opiekuńczy. Ów ponury pesymizm beletrystyczny i poetyczny wytworzył szkołę, styl, manierę, szablon. — Każda niemal książka i każde pismo, które się dostaje do chaty włościańskiej, niesie z sobą te jęki i skargi, to użalenie i to pożądanie czegoś innego, lepszego. Nie przeczę, że ciężka to dola — i ponury horyzont — lecz gdy pada nań promień wiary i wyższej nadziei, że ta dola wydaje się swobodniejszą i horyzont ozłocony.

Zapewne dziś to już nie wystarcza, trzeba, aby kraj cały, aby wszystkie warstwy szły zgodnie ku postępowi materyalnemu, ku zwalczaniu biedy, ku wzajemnej pomocy, aby się rozwijała szeroko inicyatywa ekonomiczna, a gdy ruch ten objawi się u góry i w średnich warstwach przymnożeniem zarobku, rozszerzeniem zakresu ekonomicznego oddziała na dobrobyt ludu, na pobudzenie w nim potrzeb lepszego życia i jego zaspokojenia. Tylko jeden warunek: nie należy zaczynać od słów skargi, lecz od czynów, nie należy budzić wpierw żądz i apetytów, dopokąd się nie zapewni ich zaspokojenia.

Niezadowolenie ze swego stanu jest ogólną chorobą wieku, może silniej niż w każdym innym kraju i społeczeństwie grasującą u nas. W Polsce każdy chce być czemś więcej, niż tem, czem go Pan Bóg stworzył. Wszyscy żyjemy nad stan, a jeszcze wyżej chcielibyśmy się wznieść. Dotąd jeden tylko lud wiejski był od tej choroby wolny. Dlaczego? — pyta Lew Tołstoj w swych wyznaniach, lud wiejski, który najmniej używa, najwięcej znosi zmartwień, — najmniej się skarży, najlżej znosi ciężar życia? Odpowiedź na to pytanie zawiodła rosyjskiego romansopisarza na drogę wiary — kazała mu naśladować pobożność ludu.

W znakomitym swym referacie o kwestyach społecznych w Galicyi, O. Henryk Jackowski, na wiecu katolickim we Lwowie, przyczyny rozstroju sprowadził do jednego mianownika: „żądza używania i wstręt przed wszystkiem, co krzyż przypomina“.

Wszyscy ulegamy tej męczarni, bo chcemy używać i zrzucić krzyż z barków. Dziś zaś pracujemy nad tem, aby tą chorobą ogólną niezadowolenia zarazić warstwy ludowe, a odjąć im pociechy i uczucie rezygnacyi z religii płynące.

Rozumiem to ze strony rewolucyonistów i socyalistów — oni idą do ideału zrównania ekonomicznego i kolektywizmu, oni nie mają pojęć chrześcijańskich o życiu doczesnem i życiu wiecznem. — Lecz ci, co głoszą naukę Chrystusa niech zważą że choć wymagania ekonomiczne i społeczne mogą być w różnych epokach różne — prawda ewangeliczna się nie zmienia, godło krzyża nietylko godłem wiekuistego zbawienia, ale chrześcijańskiego życia na ziemi. Tylko w tym duchu podjęta praca nad ludem może mieć miano chrześcijańskiego socyalizmu.

Dżuma w Wiedniu

Dozorczyni Pechówna jeszcze żyje, choć życie to jest raczej ciągłem wahaniem się między życiem a śmiercią. Temperatura jej to podnosi się nieznacznie to spada, między 38 a 39 6 stopniami gorączki. Biedaczka męczy się strasźliwie, co można wnioskować z częstych omdleń, podczas których to blednie to sinieje naprzemian. Co do tego, czy ona może żyć, zdania są podzielone. Ci, którzy utrzymują, że powrót jej do zdrowia jest możliwym, przypisują dotychczasowe jej życie tylko temu, że poddano ją leczeniu za pomocą serum.

Między innymi dr. Marmorek, który przywiózłszy serum z Paryża do Wiednia, czeka tam na rezultat kuracyi Pechowej nie traci jeszcze nadziei jej ocalenia, jakkolwiek stan jej sił jest mało zadowalający, a częste omdlenia, w których to sinieje, to okrywa się trupią bladością — są złym objawem. Pacyentce wstrzyknięto dotychczas 400 gramów serum przeciw-dżumowego. Ta znaczna ilość jednak jest — zdaniem jego — usprawiedliwiona skutkiem spóźnionego zastosowania metody leczenia tym środkiem. Jest on zdecydowany prowadzić konsekwentnie dalej tę kuracyę. Serum samo przez się nie jest żadną trucizną, co najwyżej jest trucizną względną, stanowiącą antidotum przeciw innej truciźnie. Składa się z substancyi zupełnie neutralnych, które normalnemu organizmowi w niczem nie mogą szkodzić. Przytem bardzo łatwo wydala się samo z organizmu. Czasem, przy zbyt forsownem zastosowaniu serum, następuje wysypka, tej jednak dotychczas u Pechówny nie stwierdzono.

Reszta internowanych ma się dobrze. Tylko służąca Göschl dostała lekkiego zapalenia gardła i suchego kaszlu bez flegmy.

Z izby sądowej.

(Znęcanie się nad żoną).

Wiedeń 26 października

Przed tutejszym sądem przysięgłych odbyła się w tych dniach rozprawa przeciw dorożkarzowi Eichbergerowi, oskarżonemu o znęcanie się nad żoną i ciężkie uszkodzenie jej ciała. Rzecz miała się tak: Pani Katarzyna Eichberger, pochowawszy szczęśliwie pierwszego męża, pędziła spokojny żywot jako posługaczka Na nieszczęście, uznawszy, że życie na tej dolinie łez bez bratniej duszy jest przykre, zwróciła oko na atletyczną postać pana Eichbergera, dorożkarza. Po kilku miesiącach wzajemnej adoracyi, pani Katarzyna została panią Eichberżyną. Ale młody małżonek okazał się już w miodowych miesiącach wybitnym indywidualistą i narzucał swojej żonie apodyktycznie swoją wolę. Oprócz swojej wysoce wartościowej osoby nie wniósł wprawdzie w małżeństwo nic, ale za to wiedział, że żona z czasów wdowieństwa ma trochę długów i to jej przy każdej sposobności wyrzucał. Nie koniec na tem. Pewnego razu, wróciwszy podpity do domu, podniósł na nią pięść i od tego czasu tak w tego rodzaju sporcie zagustował, że bił ją codzień bez litości. Pod tym względem jednak małżonkowie byli zasadniczo przeciwnego zdania. Im więcej pan Eichberger żonę przekonywał, że tego rodzaju gimnastyka wyjdzie i jemu i jej na zdrowie, tem bardziej ją to degustowało. Wreszcie po trzech latach wzajemnego pożycia postanowiła go opuścić, ale pomimo tego nie uzyskała od niego spokoju. Dzielny dorożkarz nalegał na nią ustawicznie, aby do niego wróciła. Biedna ofiara zgodziła się wreszcie na to w nadziei, że charakter oryginalnego gimnastyka uległ przez kilka miesięcy pewnej zmianie. Po miesiącu znowu się rozeszli. Eichberger przeniósł się do domu, gdzie mieszkała jego żona i wywoływał dzień w dzień największe skandale.

Pewnego dnia, we wrześniu, o godzinie siódmej rano, spotkał Eichberger żonę w sieni domu i rzucił jej słowa: „Jeżeli nie zgodzisz się żyć ze mną, to cię zamorduję!“ Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni nóż, potem jednak widocznie się rozmyślił, bo nóż schował, przyskoczył do przechodzącego sienią p. Zimmermanna, wyrwał mu z ręki kij i zaczął nim żonę niemiłosiernie okładać. Ta gimnastyka takiego mu dodała humoru, że kiedy żona z rąk mu się wyrwała i uciekła, ściągnął ze schodów niejaką pannę Altrichter i zadał jej kilka tak silnych uderzeń, że kij pękł na dwoje.

Przed sądem p. Eichberger zachowywał się bardzo godnie i stanowczo, przyczem za każdym zarzutem prokuratora wyciągał w jego stronę zaciśniętą pięść ruchem pełnym wdzięku, który musiał jego nieszczęśliwej połowicy przypominać najtragiczniejsze chwile małżeńskich nieporozumień. Oświadczył, że jest zupełnie niewinny. „Wysoki trybunale — mówił — sprawa tak się przedstawia: To jest bardzo gwałtowna osoba, ja też jestem sobie niczego (wesołość), a jej pasierb, ten bogacz Brunner, budowniczy, bez ustanku ją przeciw mnie buntuje. Czasami mówiłem do niej trochę głośno (wesołość), to prawda, ale nie biłem jej nigdy. Wszystkie zarzuty mojej żony są fałszywe. Ja, mój kochany panie (wesołość) zarabiam dziennie 2 złr, nie potrzebuję od mojej nic, bo nazywam się — Eichberger. (Wesołość). Ja mówię prawdę, jak mi Bóg miły, który mnie ukarze, jeżeli kłamię, ale te baby, które cały dzień nic nie robią, tylko plotki roznoszą, które utrzymują, że ja jestem źle wychowany (wesołość), te nędznice...

Przew: Proszę świadków nie obrażać na to nie pozwolę. Policya określa pana jako niebezpiecznego człowieka i pijaka.

Osk.: (Z flegmą). Co tam policya! (Wesołość). To zupełnie naturalne. Ja jestem biedny dorożkarz, a pan pasierb jest kamienicznikiem i policya dobrze wie, komu łapy lizać.

Przew.: (Surowo). Jeżeli pan będziesz dalej przemawiał w tym tonie, każę pana wyprowadzić z sali.

Osk.: Ale i owszem. (Wesołość).

Kiedy żonę jego wprowadzono na salę, oskarżony stanął naprzeciw niej i przez cały czas przypatrywał jej się wyzywająco.

P. Eichberżyna: Ja już raz muszę sobie pozwolić (wesołość), ja już raz muszę wszystko wypowiedzieć. Jak mnie ten człowiek katował, trudno opowiedzieć. W dwa tygodnie po ślubie zbił mnie i wyrzucił z pokoju, codziennie znęcał się nademną, za włosy włóczył mnie po kuchni i po pokoju. (Poruszenie). Szyby w oknach mną powybijał... (Płacząc). Wysoki trybunale, to rzeczywiście bardzo zły człowiek, bardzo..

Osk.: Moje serce, tylko nie przesadzaj! (Wesołość)

Przew: Cicho.

Świadek (rozdrażnionym głosem): Bił mnie do krwi, raz byłby mnie zrzucił z trzeciego piętra, gdyby mi w ostatniej chwili Bóg nie był zesłał zbawcy!

Sędzia przys. Kramer: Tylko niech pani tak nie krzyczy.

Drugi sędzia przys.: Pani jest rozdrażniona, to zupełnie zrozumiałe, niech pani dalej krzyczy. (Wesołość).

Przew.: Więc pani drugi raz do niego wróciła?

Świadek: Bo mi groził, że mnie zabije, a ja myślałam, że może będzie lepiej.

Osk: Ta kobieta od początku do końca kłamie.

Przew.. Jeszcze jedno takie słowo, a ukarzę pana w drodze dyscyplinarnej. Pańska nieszczęśliwa żona przysięgła tutaj, że będzie zeznawała prawdę.

Osk: Fałszywie przysięgła! Mój kochany panie, ja wiem tak, jak pan, co to przysięga, bo przysięgałem dwa razy w życiu, raz w wojsku, drugi raz przy ślubie. (Wesołość). U tej kobiety jest czysta suggestya. (Wesołość).

Oskarżony zachowywał się dalej coraz bardziej wyzywająco i uznał zeznania wszystkich innych, bardzo wiarygodnych świadków, za fałszywe. Wskutek tego przewodniczący upomniał go w sposób najsurowszy: „Jeżeli pan tak się wobec sądu zachowujesz, to można łatwo pojąć, że w domu postępowałeś pan jak dzikie wściekłe zwierzę!“

Wszyscy świadkowie opisywali jednozgodnie codzienne skandale w mieszkaniu Eichbergerów i niesłychane okrucieństwo oskarżonego, a sześćdziesięcioletnia staruszka Haberman zeznała, że oskarżony zawołał do niej, grożąc: „Stara małpo, możesz pójść na cmentarz i zmówić ostatnie „Ojcze nasz“!“

Osk.: Co, ja tak mówiłem? Nie, wiecie państwo, to doskonałe!

Takie same zeznania składa panna Marya Altrichter, która owego krytycznego poranku znajdowała się na schodach, dalej pasierbica oskarżonego, Zimmermann i inni.

Przew.: Cóż pan na to wszystko?

Osk.: Mój panie drogi, na co się pan pytasz? (Wesołość). Moja żona i panna Altrichter rzuciły się na mnie z trzepaczką i miotłą. Mnie wstyd o tem mówić, ale tak jest, a te wszystkie baby, które całemi dniami włóczą się po domach, są z góry zapłacone przez budowniczego Brunnera, ażeby przeciw mnie zeznawały.

Oskarżony został skazany, bez uwzględnienia żadnej okoliczności łagodzącej, na 18 miesięcy ciężkiego więzienia. Pani Eichberżyna, płacząc, zrobiła uwagę: „Teraz mam na pewien czas spokój, ale kiedy ten człowiek wyjdzie z więzienia, będzie zdolny do wszystkiego!“ *Gł. Nar.*

* * *

Kraków, 28 października.

(Obraza czci).

Dziś przed sądem przysięgłych rozpoczęła się rozprawa karna przeciw redaktorowi socyalno-demokratycznego pisemka *Prawo ludu* Franciszkowi Sułczewskiemu i włościaninowi z Kosowic, Franciszkowi Świerkowi o występek obrazy czci, popełnionej na ks. Stanisławie Chudybie z Kosiatycz. Świerk zarzucał księdzu, że zdradził tajemnicę spowiedzi żony Świerka przed właścicielem wsi p. Niwińskim i podnosił ciężkie zarzuty przeciw księżom i szlachcie. W czasie rozprawy nadszedł list p. Sułczewskiego, w którym odwołuje zarzuty czynione w swej gazetce na podstawie opowiadania Świerka przeciw księdzu i przeprasza go. Do tego odwołania przyłączył się i drugi oskarżony, wobec czego ksiądz Chudyba od oskarżenia odstąpił.

* * *

Tarnopol, 28 października.

(Lichwiarz).

W tutejszym sądzie karnym skończyła się wczoraj trzydniowa rozprawa przeciw Szlomie Weglowi, który od lat 15 z góry trudnił się lichwą, dając pożyczki na 120%. Operował głównie w sferach urzędników państwowych. Sąd skazał go na ośm miesięcy ciężkiego więzienia i 500 złr. grzywny. Wajgel wniósł rekurs od wymiaru kary.

* * *

Lwów 29 października.

Sprzeniewierzenie.

Dziś zapadł wyrok w sprawie malwersacyj w gminie Cewkow. Trybunał skazał Firuta na 3 miesiące a Markiewicza na 4 miesiące ciężkiego więzienia. Gebauer został uwolniony.

Kronika.

Lwów 29 października.

Wiadomości urzędowe. Adjunkt technicznej kontroli skarbowej Aleksander Lewicki, zamianowany kontrolerem techniczym w IX. kl. rangi.

Minister kolei żelaznych przeniósł inżyniera Eustachego Kossonogę, zastępcę naczelnika pierwszej sekcyi konserwacyi i starszego inżyniera Władysława Sinkiewicza, zastępcę naczelnika ogrzewalni w Stanisławowie, do Dyrekcyi kolei państwowych tamże; inżyniera Samuela Nelkena, zastępcę naczelnika I. sekcyi konserwacyi w Tarnopolu, w tym samym charakterze do I. sekcyi konserwacyi w Jarosławiu; inżyniera Stefana Neugoffa, zastępcę naczelnika I. sekcyi konserwacyi w Jarosławiu, na takie samo stanowisko w I. sekcyi konserwacyi w Tarnopolu; oficyała Franciszka Czarneckiego, z Podwołoczysk do Przemyśla; oficyała Edwarda Hofmokla, z Przemyśla do Brodów, a oficyała Kornela Zahajkiewicza, z Brodów do Podwołoczysk. — Dalej zamianował minister kolei żelaznych inżyniera Józefa Hałeczkę we Lwowie, naczelnikiem sekcyi konserwacyi w Kocmaniu; inżyniera Stanisława Gürtlera we Lwowie, naczelnikiem, a inżyniera-adjunkta Tadeusza Radwan Łodzińskiego, zastępcą naczelnika nowo utworzonej sekcyi konserwacyi w Skale, oraz inżyniera Rudolfa Weinerta we Lwowie, kontrolerem służby telegraficznej w Dyrekcyi kolei państwowych w Krakowie.

W Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie weszło w życie centralne biuro, jako fachowy organ doradczy dla dyrekcyi. W skład biura tego weszli pp.: Krause Bronisław, jako techniczny referent działu szkód, Antoni Bocheński, naczelnik-referent inspektorów ubezpieczeń, Szatkowski, jako naczelnik-referent manipulacyi. Z dniem 1 listopada wejdzie w skład tego biura p. Wiktor Gablenz z zatrzymaniem nadal kierownictwa działu życiowego. Zastępcą prowizorycznym kierownika tego działu został p. Edward Szancer, dotychczasowy autoryzowany technik Towarzystwa. Pan Jan Wygrzywalski, sekretarz Towarzystwa został przeniesiony do Lwowa, jako sekretarz reprezentacyi w miejsce p. Bielańskiego, który przechodzi w stan spoczynku z dniem 1 listopada.

Z dniem 1 stycznia r. 1899 otwartą zostanie agencya Towarzystwa w Jarosławiu.

Biskupem sufraganem przemyskim po śp. ks. Glaserze ma podobno zostać ks dr. Józef Pelczar, profesor uniwersytetu krakowskiego, kanonikiem zaś gremialnym po śp. ks. Edwardzie Szediwym ks. Wiśniewski, ten sam, na którego życie dokonano przed kilku dniami zamachu w Jaśle.

Znowu defraudacya. W sprawie defraudacyi w urzędzie gminnym w Kołomyi, bawi tam delegat Wydziału krajowego, by zbadać dokładną wysokość szkody i sposób, w jaki defraudacyi dokonano. Sprawcę defraudacyi, p. Dier, uwięziono. Śledztwo sądowe w toku.

Z Czytelni katolickiej. Dnia 31 października br. o godz. 7-mej wieczorem odbędzie się w Czytelni katolickiej pogadanka, którą zagai ks. kanonik Pechnik. Przedmiotem pogadanki będą artykuły o wychowaniu młodzieży, pióra Stanisława Szczepanowskiego, zamieszczone świeżo w *Słowie Polskiem*, a rzucające się w sposób brutalny na Kościół Katolicki i na świętych tego Kościoła.

Konkurs rozpisał Wydział krajowy na dwa stypendya — z fundacyi Karola i Reginy Lipińskich, w kwocie 500 zł. dla uczniów konserwatoryum muzycznego w Neapolu, lub we Wiedniu, oraz na jedno (200 zł.) i na dwa po 150 zł. dla uczniów konserwatoryum gal. Tow. muzycznego we Lwowie. Termin do 31 grudnia.

O regulacyę płac. Ministrowie skarbu i handlu przyjęli dnia 26 bm. deputacyę manipulantek pocztowych i telegraficznych ze wszystkich krajów koronnych, która prowadzona przez posła Schwarza doręczyła ministrom petycyę o odpowiednią regulacyę płac. Ministrowie przyjęli deputacyę w sposób jak najprzychylniejszy i zapewnili, że skoro fundusze państwowe na to zezwolą, stanie się zadość życzeniom, wyrażonym w petycyi.

Handel opłatkami. Organiści lwowskich kościołów wnieśli do magistratu petycyę o wydanie zakazu sprzedawania opłatków z wyobrażeniem Chrystusa i Męki Pańskiej przez przekupniów, którymi przeważnie są żydzi. Magistrat orzekł jednakże, że zakazu takiego wydać nie ma prawa, gdyż wyrób i sprzedaż opłatków przysługuje każdemu koncesyonowanemu piekarzowi i cukiernikowi. Natomiast będzie magistrat czuwał nad tem, ażeby opłatków, przeznaczonych na stoły religijne, nie sprzedawali ludzie nieupoważnieni w ogóle do wykonywania sprzedaży.

Rozstrzygnięcie konkursu. Komitet kasy imienia Mianowskiego w Warszawie, po rozpatrzeniu prac z dziedziny języka polskiego, historyi i literatury polskiej, medycyny, oraz nauk przyrodniczych i matematycznych, nadesłanych na konkurs z zapisu śp. Zenona Pileckiego, całkowite premium, w kwocie 750 rubli, przyznał p. Adamowi Antoniemu Kryńskiemu za dzieło p. t. „Gramatyka języka polskiego“.

Wybory do Rady m. Lwowa. Z powodu zaprowadzenia reformy podatkowej, skład lwowskiej Rady miejskiej może doznać wybitnej zmiany. Dotychczas prawo głosowania posiadali między innemi ci obywatele, którzy opłacali przynajmniej ośm zł. podatku zarobkowego lub 12 zł. wszelkich innych podatków. Ponieważ zaś podatek zarobkowy dla tych, którzy dotychczas opłacali 8 zł., zniżony został do pięciu zł., przeto wszyscy ci kontrybuenci, a są to przeważnie drobni przemysłowcy, utracili prawo głosu do Rady miejskiej. Natomiast wprowadzenie podatku rentowego otwiera licznym małym finansistom, a więc przeważnie żydom, prawo wyboru, którego oni dotychczas nie posiadali.

P. Włodzimierz Buynowski, posądzony o defraudacyę 12 000 zł. z kasy solnej Wydziału krajowego, został we czwartek wypuszczony na wolną stopę za kaucyą 3000 zł.

Ignacy Paderewski, przybywa jak donoszą pisma warszawskie w końcu stycznia lub pierwszych dniach lutego do Warszawy, celem dania koncertu. Możeby więc nasze Towarzystwo muzyczne skorzystało z tej sposobności i zaprosiło wielkiego muzyka na parę koncertów do Lwowa.

Uroczystość Patrona gimnazyum V. Dnia 27 b. m. obchodziła młodzież gimnazyum V doroczną uroczystość swojego św. Patrona. Wieczorem dnia poprzedniego odbyły się uroczyste nieszpory. Ołtarz wielki kościoła OO. Bernardynów był prześlicznie kwiatami i kandelabrami przystrojony. Nieszpory odprawił ks. Sapieha w asystencyi licznego kleru i licznych do asysty kościelnej umyślnie przygotowanych uczniów wyższych klas gimnazyalnych. Kazanie miał ks. Pechnik prof. gimnazyum IV.

Dnia następnego, w uroczysty dzień św. Patrona, zgromadziła się znów młodzież całego zakładu w kościele. Nabożeństwo rozpoczęło się o godzinie 9tej. Celebrował ks. kustosz OO. Bernardynów w asystencyi licznego kleru zakonnego i licznych uczniów gimnazyalnych, jak dnia poprzedniego.

Kazanie miał o. Czesław Bogdalski. We wzruszających i podniosłych słowach przemówił on do serc młodzieży, zachęcając ją do uprawiania cnót chrześcijańskich, w których celowali nasi przodkowie, a między nimi odszczególnił się swem życiem bogobojnem Patron młodzieży, święty Jan Kanty. Kazania tego wysłuchała młodzież z wielkiem przejęciem. Piękne i zdrowe nauki kaznodziei z pewnością przyjmą się w sercach młodzieży i pozostaną w jej pamięci na całe życie.

Śpiewy chóru szkolnego wypadły świetnie. Szczególne wrażenie sprawiła pieśń do św. Patrona, którą młodzież cała w podniesionym nastroju odśpiewała na zakończenie.

Prawdziwa wiara i szczera pobożność młodzieży bardzo miłe sprawiła wrażenie na zebranej w kościele publiczności. Mimowoli budziła się w sercach wszystkich obecnych myśl jedna, że z tej wiernej Kościołowi młodzieży polskiej wyrosną kiedyś prawi i dzielni obywatele kraju.

Zuchwałość rzezimieszków. Towarzystwo łyżwiarskie nam donosi, że złodzieje skradli przewody elektryczne, idące z fabryki elektryczności do ślizgawki. Dzieje się to już po raz drugi, czy trzeci, a zauważyć należy, że aby te przewody ukraść, muszą złodzieje chodzić od masztu do masztu z drabinami, włazić na te maszty, odrywać druty, zwijać je na ogromne szpulki; że wszystko to muszą robić w nocy i że nakoniec zdobywszy te druty muszą mieć pewną trudność w ich spieniężeniu.

Malarz Horowitz otrzymał od Najj. Pana polecenie zrobienia portretu Cesarzowej Elżbiety w naturalnej wielkości. Urządzono mu pracownię w Burgu i oddano portrety olejne, fotografie oraz suknie zmarłej Cesarzowej.

Wiadomości dyecezyalne Archidyecezya lwowska obrz. łać. Odznaczony *expos. can.* ks. Jan Fijałkowski, proboszcz w Budyłowie.

Dyecezya przemyska. Zrezygnował z probostwa w Sarzynie ks. Konstanty Łaziński, administratorem zaś tam zamianowano ks. Juliana Krzyżanowskiego, wikarego z Medyni.

Dyecezya tarnowska. Przeniesieni: ks. Jan Bajorski z Ujścia solnego do Radłowa; ks. Józef Olszowiecki z Radłowa do Ujścia solnego.

Nowe urzędy pocztowe wejdą w życie z dniem 1 listopada: w Broniszowie powiatu ropczyckiego, w Błudnikach, powiatu stanisławowskiego, w Dźwiniaczce pow. borszczowskiego, w Brunniku powiatu grybowskiego i na dworcu kolejowym w Psarach powiatu rohatyńskiego. W Tarnopolu utworzoną zostanie od 1 go listopada filia urzędu pocztowego pod nazwą „Tarnopol 2“, a tamtejszy urząd główny pocztowy i telegraficzny nazywać się odtąd będzie „Tarnopol 1“,

Niebywałe zdarzenie. Literackie sfery Lwowa są od wczoraj zajęte niebywałym faktem w dziejach dziennikarstwa naszego. Oto pewne pismo drukowało przed paru tygodniami utwór jednego ze znakomitszych pisarzy polskich, a wczoraj w fejletonie na tem samem miejscu, gdzie przed niedawnym czasem jaśniało jego pióro, zamieściło ordynarny paszkwil na niego. Drukuje ono teraz powieść, której bohaterem jest student uniwersytetu warszawskiego. Student ten zamiast siedzieć nad książką i chodzić na wykłady uniwersyteckie zajmuje się „urzeczywistnianiem ideałów politycznych i socyalnych“. Naturalnie następstwem tego jest, że dostaje się do więzienia, skąd za socyalizm i rewolucyonizm ma iść na Sybir. Udaje mu się jednak umknąć przy pomocy jakiejś aktorki, dostaje się za granicę, zjawia się w Paryżu i chcąc pogadać z znakomitym naszym pisarzem „o swoich ideałach“ składa mu wizytę. Pisarz wspomiany mniemając, że ma do czynienia ze zwykłym polskim żebrakiem, jakich mnóstwo nawiedza bogatych Polaków za granicą, przyjmuje go dość szorstko. Dowiedziawszy się jednak, że wizyta studenta ma na oku inny cel, że szło mu o poznanie autora „Rycerzy“, zmienia ton głosu i prosi studenta do swego gabinetu, aby z nim pomówić. Zaczyna od tego, że robi mu wymówki, dlaczego on i podobni mu młodzi ludzie opuszczają kraj rodzinny, dlaczego się nie uczą, nie kończą uniwersytetu, nie pracują w kraju, lecz tylko ciągle wyjeżdżają do Paryża, kiedy na emigracyi przecież żadnego pożytku krajowi nie przynoszą itd. W końcu oświadcza mu uprzejmie, że daruje mu kilka swoich książek. Tu dajemy głos autorowi powieści:

„Leona zaczęło teraz ogarniać dziwne uczucie. Było to rozgoryczenie, lecz pomięszane z taką dozą nerwowej ironii, że mimowoli usta mu się układały do śmiechu i czuł, że łaskotanie wykrzywia mu muskuły twarzy. Powstrzymał się całą siłą woli, podczas gdy w umyśle jego przesuwały się ciągle następujące myśli. I to tu? w tym salonie chciałeś powiedzieć wszystko, chciałeś się wyspowiadać, jak przed ojcem, chciałeś roztoczyć swoje ideały, pragnienia, chęci — chciałeś prosić o radę, o wskazanie kierunku! chciałeś opowiedzieć o przeszłych już cierpieniach, o cytadeli, o swej ucieczce z kraju!... I przed kim? Przed tym bogaczem, który zarobione na spekulacyach giełdowych pieniądze przejada najspokojniej i traktując cię jak żebraka, więcej się troszczy o stan swych cacek salonowych, niż o stan twego umysłu, twej duszy i twojej kieszeni. Dopiero, gdy dowiedział się o twem uwielbieniu dla niego, jako dla autora — wylazł jak ślimak ze skorupy i obdarza cię kilkoma tomami swych dzieł, których rozdawać nie ma komu, odciągwszy się od wspólnego życia i wspólnych interesów swych rodaków.

I rzeczywiście — z drzwi gabinetu wyszedł P., trzymając w rękach kilka grubych książek w zielonych okładkach.

— Ja tu nawet panu napisałem kilka słów! — wyrzekł z zadowoleniem. — Weź pan... to ładnie, żeś pan o mnie nie zapomniał i moje książki czytał. Tylko, po co pan z kraju wyjechałeś, najlepiej zrobisz, jeżeli jak najspieszniej powrócisz!..

— Nie mogę wrócić do kraju! — wyrzekł Leon, biorąc książki i nakrywając je czapką.

— Dlaczego, dlaczego! Co wy tam w tym kraju znów teraz robicie? — Siedźcie cicho!

— My też siedzimy cicho.,. ale w cytadeli! — wyrzucił wreszcie ze siebie Leon to słowo, które go dławiło od pierwszej chwili i teraz z pewnego rodzaju wyższością patrzył na zdziwionego tym wykrzyknikiem starca.

— A!... a!... wyrzekł tenże — tak! cytadela!... tak? ale, młody panie, przedewszystkiem trzeba się zająć nauką...

— Przedewszystkiem — odparł Leon — trzeba się zająć tem, do czego się dusza wyrywa. I pan przecież w swej młodości zajmowałeś się tem, czem ja, czem my młodzi i siedziałeś długi czas w więzieniu. Przynajmniej tak pisałeś w swych pamiętnikach...

Starzec potrząsł głową.

— Tak, tak!... — wyrzekł — ale to były inne czasy... a potem my byliśmy inni ludzie! Dziś — wy to czynicie więcej z dumy i dla przechwałek, aby potem szeroko rozpowiadać o swem poświęceniu i rozpisywać się o doznanych męczeństwach!...

Leon chwilę wpatrzył się w zielone oczy P. i został zdumiony, ile tam dobrodusznego fałszu mieściło się na dnie tych źrenic.

— Nie panie! — wyrzekł, kłaniając się i dławiąc się od nerwowego śmiechu — my nie pisujemy... pamiętników, my co najwyżej wydrapujemy paznogciami nasze nazwiska na ścianie naszej celi i to zaraz zasmarować wapnem każą. Żegnam pana!...

P. za nim kilka kroków postąpił.

— Zajrzyj pan tu do mnie, młody panie! — wyrzekł uprzejmie — pogadamy jeszcze o tem i o owem!

— Panie łaskawy! — odparł Leon już w przedpokoju — przepraszam, ale prawdopodobnie już więcej u pana nie będę... Muszę się czemś zająć! Ja niestety nie wycofałem się z interesów!

Wydostawszy się na schody, Leon wybuchnął nerwowym śmiechem. Śmiech ten wzmógł się jeszcze, gdy na okładce książki chłopak przeczytał następującą dedykacyę: „Młodemu człowiekowi na drogę życia = Autor“.

— Nie kosztowna pomoc! — śmiał się Leon — a jaka ojcowska, patryarchalna.

Gdy zeszedł na ulicę i zastanowił się nad swą bytnością u P, przestał śmiać się i ogarnęło go znów rozgoryczenie.

— Wielki! — myślał — wielki.... a jaki z bliska.... nic, jaki mały!“

I tak dalej w tym tonie. Zapytać się więc wypada autora i redakcyę, co im zrobił człowiek, który już nie żyje i przeto obronić się nawet nie może od ich napaści.

Wieczorek Kościuszkowski odbędzie się jutro w lokalu stowarzyszenia Czytelni i wzajemnej pomocy robotników i służby kolei państwowych we

Lwowie, w dawnym gmachu dyrekcyi kolei czerniowieckiej.

Polacy na obczyźnie. W Kanadzie, w Toronto, zmarł dnia 24 sierpnia br. rodak nasz, Kazimierz Gzowski. Był on synem Stanisława hr. Gzowskiego, oficera gwardyi cesarskiej. Urodził się w r. 1813 w Petersburgu, studyował w liceum krzemienieckiem, a w r. 1833 znalazł się w Ameryce. Utrzymywał się z lekcyi języka francuskiego, skończył wydział prawny w Pittsfieldzie (Massachusset) i został adwokatem w Filadelfii. Później przerzucił się do inżynieryi i w r. 1841 osiadłszy w Toronto, w Kanadzie, został naczelnym inżynierem kolei od rzeki św. Wawrzyńca do Atlantyku. Budował także kolej od Toronto do Sarnia. Stanowisko jego w Kanadzie stawało się coraz wybitniejszem. Obrany prezesem stowarzyszeń strzeleckich, w maju 1872 r. został mianowany podpułkownikiem, a w r. 1879 adjutantem królowej angielskiej. Spółka Gzowski i Macpherson budowała most na Niagarze. W r. 1896 Gzowski był gubernatorem Ontario, prezesem Towarzystwa inżynierskiego i komisyi wodospadu Niagary.

W Kanadzie również pracuje obecnie pan J. Obalski, inżynier, b. uczeń szkoły batignolskiej, który wydał właśnie rozprawę o złocie w prowincyi Kwebeku.

Tymi dniami p. Żeglicki, sędzia w Tuluzie, został mianowany prezesem trybunału w Gourdon.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 7, w poł. + 13 R. Bar. 770. Spada. Pogoda.

Gorliwość na pokaz.

— A ty taki, owaki! — wymyślał dorożkarz koniowi, który przestąpił nogą przez dyszel.

— Słuchaj-no, ty! będzie z tobą źle! — krzyknął gorliwy przyjaciel zwierząt.

— A bez co ma być źle? kiej ja ślkapy batem nie biję.

— Tak, ale mu wymyślasz, choć on ci nic *nie mówi*.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś w sobotę po południu „Żydzi“, komedya w 5 aktach Józefa Korzeniowskiego, wieczorem „Sprzedana narzeczona“. W niedzielę po południu „Chory z urojenia“, wieczorem „Bal w operze“. W poniedziałek uroczysty wieczór ku uczczeniu pamięci setnej rocznicy odrodzenia się małoruskiej literatury. We wtorek po poł. „Szaławiła, wieczorem „Bal w operze“. We środę „Dziady“, dzieło muzyczne w 4 odsłonach Stanisława Moniuszki, oraz „Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda“, opera komiczna w 2 aktach Karola Kurpińskiego.

Do dzisiejszego numeru dla Sz. prenumeratorów na prowincyi dołączamy warunki abonamentu Wypożyczalni i składu nut Władysława Zadurowicza ul. Akademicka l. 8, Lwów.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Szczupłą pod względem rozmiarów i zamkniętej w nich treści jest grana u nas wczoraj po raz pierwszy krotochwila p. Orłowskiego pt. „Protest Strukczaszego“. Młody szlachcic Zbisław Wierzchowski ożenił się ze szlachcianką Domicelą Bolską, która go nie kochała i idąc za mąż uległa tylko woli stryja i matki. Przeciwko małżeństwu zaprotestował również Strukczaszy Horwat, który miał zamiar ożenić swego syna z Domicelą. Zaledwie Zbisław wyszedł z kościoła, odbijają mu żonę stronnicy Strukczaszego i uprowadzają ją. Zbisław postanowił jej szukać, a tymczasem odprawić u siebie gody, jako słomiany żonkoś. W pierwszym akcie odbywa się właśnie narada Zbisława z kompanionami w karczmie arendarza Moszka. Kompanionowie robią już w karczmie początek godów i upijają się tak, że muszą się położyć na spoczynek. Tymczasem Staszek Horwat, który mając chrapkę na possg Domiceli, chce młodą panią uwieść i uniemożliwić pościg Zbisława, wykrada jemu i kompanionom podczas snu ubrania, zostawiając im tylko graby negliż, w którym się spać pokładli. Na wzniecony przez Moszka i Moszkową lament, że ich okradziono, zrywają się panowie szlachta, i przez chwilę nie wiedzą, co począć, gdy nagle zjawia się w karczmie przypadkiem księżna Tarnogrodzka, która objaśnia Wierzchowskiego, że żona kryje się w pobliskim zamku. Wierzchowski postanawia wziąć stamtąd żonę przemocą, dostaje się do zamku właśnie w chwili, gdy Staszek Horwat już miał zamiar z kobietami uciekać i zabiera ją do siebie do domu. Tam żyją oboje w odosobnieniu, bo oporna żonka nie chce się zgodzić na wspólność małżeńską, kochając ciągle Horwata. Dopiero, gdy raz zostaje przez męża przychwytaną na schadzce z Horwatem, a przy tej okazyi pokazuje się jego tchórzostwo i nikczemność. Domcia traci dla niego uczucie miłości i zwraca się sercem ku mężowi.

Ta treść, przypominająca w akcie drugim „Poskromienie Złośnicy“ a w trzecim znowu „Właściciela kuźnic“, przeszczepionego na grunt szlachecki z wieku XVIII, jest jakby tylko pretekstem do przesunięcia przed oczyma widza kilkunastu epizodów i typów odtworzonych na tle końca tego wieku. Najlepszymi epizodami są: pijatyka w karczmie, powitanie księżnej przez szlachtę okradzioną z ubrań i poprzybieraną w co kto miał: to w obrus, to w starą spodnicę, to w kapę z łóżka, to chałat żydowski; przemowa Zbierzchowskiego do opornej żonki, kiedy jej tłómaczy, że cierpliwością tak samo ją ujeździ, jak ujeździł narowistego kasztana, a wreszcie dyktowanie listu Horwatowi przez Wierzchowskiego, w którym Horwat urzędowo wypiera się swego uczucia dla Domiceli. Co do typów, to wszystkie one przypominają ogólnie figury znane z licznych dawniejszych powieści i komedyi Fredrowskich. Do tych ostatnich „Protest Strukczaszego“ jest tem podobniejszym, że wierszem bardzo je przypomina. Są tam nawet tak często przez Fredrę powtarzane zwroty, jak: „W tym sposobie“ z rymem „dobie“, i „W tym względzie“ z rymem „będzie“ i. w. i. Wiersz ten to najsłabsza strona utworu. Jest on wprawdzie dość płynnym, ale miejscami razi swoją prymitywnością i naśladowaniem. Wogóle o talencie młodego autora p. Orłowskiego nie wiele można po tej pierwszej próbie powiedzieć i to właśnie dlatego, że za dużo tam we wszystkiem ręki obcej. Zasługą autora jest to, że umiał epizody powybierać i tak ugrupować, że z całości wiało tchnienie naszej „hucznej i buńczucznej“ przeszłości, z którem coraz to rzadziej się dziś spotykamy. Dość lotny dowcip i pewna werwa w prowadzeniu akcyi i dyalogu sprawiła też, że tych krótkich trzech aktów można wysłuchać z zajęciem.

„Protest Strukczaszego“ odegranym był u nas dobrze. Buńczucznego i energicznego Zbisława grał ze zrozumieniem i rozmachem p. Żelazowski, a doskonałą partnerkę miał w pannie Czaplińskiej, która w rolę rozgrymaszonej żonki włożyła sporą dozę prawdy i humoru. W trzecim akcie, kiedy to gardzi Staszkiem Horwatem, a zwraca się ku mężowi, miała ona pewną trudność w oddaniu nagłego przeskoku psychologicznego, ale wyszła z tej trudności zwycięsko. Bardzo dobrą parę arendarzy stworzyli p. Feldman i pani Rożańska. Znakomitą zaś czwórkę kompanionów Zbisława mieliśmy w pp. Jaworskim, Walewskim, Kliszewskim i Wysockim. Zbiorowa scena pijatyki w akcie pierwszym udała im się w całem tego słowa znaczeniu. Nie mniej pięknie odtworzył p. Chmieliński postać starego sługi zamkowego, a p. Gostyńska była niezrównaną w roli garderobiany, starej panny Filipiny. Stylową matroną polską była p Cichocka, a mała rola księżnej wyszła poprawnie w grze p. Kwiecińskiej *S. W.*

Ankieta szkolna

W dalszym ciągu porannego posiedzenia przemawiał wczoraj dyr. **Petelenz**, który jest zwolennikiem jednolitej szkoły średniej. Broni jednak ulepszeń, wprowadzonych przez Radę szkolną do teraźniejszego systemu i dowodzi, że naukę fizyki, nauk przyrodniczych itp. udziela się teraz eksperymentalnie i poglądowo, a nie wyłącznie książkowo, jak twierdził p. Szczepanowski. Ważną atoli przeszkodą w osiąganiu dobrych rezultatów nauki jest przepełnienie gimnazyów.

Prof. dr. **Ćwikliński** broni najprzód teraźniejsze szkoły średnie przed zarzutem, jakoby nie były prowadzone w kierunku narodowym. Przystępując do kwestyi szkół jednolitych, nie radzi zmieniać odrazu całego teraźniejszego systemu we wszystkich zakładach, zgadza się jednak na zrobienie próby z jednym lub dwoma zakładami. Polemizuje wreszcie z tymi mowcami, którzy zaprzeczali temu, że nauka łaciny i greczyzny przyczynia się do kształcenia umysłu. Niesłusznem jest zapatrywanie, jakoby bardzo mało gimnazyalistów nauczyło się greki, bo mówca jako egzaminator stwierdził, że bardzo wielu umie dobrze tłómaczyć. Powodem obniżenia się poziomu nauki w gimnazyach jest to, że garną się do nich tacy, którzy nie mają rzetelnego zapału do nauki.

P. **Borkowski**, b. dyrektor gimnazyalny, Rusin, uzupełnia definicyę dra Kadyiego o zadaniu szkoły średniej w ten sposób: Zadaniem tej szkoły jest wychowanie przez naukę; pierwsze jest celem, drugie środkiem. Ponieważ szkoła rozumie sprawę wychowania a dom przeważnie jej nie rozumie, przeto obowiązek wychowania spada na szkołę. Ale, panujące obecnie w szkołach średnich przeciążenie materyałem naukowym nie pozwala nauczycielom przenieść punktu ciężkości na to wychowanie, bo muszą egzekwować naukę. Skutki tego są szkodliwe: uczeń oszukuje nauczyciela, i demoralizuje się w ten sposób.

Na tem przerwano posiedzenie o godz. 3 po południu.

* * *

Na posiedzeniu popołudniowem kontynuował najprzód dyr. **Borkowski** swoje wywody. Jako Rusin podniósł zarzut, że w książkach polskich są ustępy które obrażają uczucia narodowe Rusinów. Mowca odczytuje kilka takich ustępów, piętnując je jako prowokacyę. Wytyka nauczycielom i uczniom Polakom szowinizm polski, i antysemityzm. Przechodząc do kwestyi szkół jednolitych, oświadcza się stanowczo za ujednoliceniem szkół oraz za usunięciem nie tylko greki ale i łaciny.

Dyr. dr **Majchrowicz** obawia się, że ze zmianą teraźniejszego systemu wprowadzi się do szkół średnich szkodliwe prądy polityczne. Polemizując ze zwolennikami jednolitej szkoły średniej, zarzuca im, że nie rozwinęli szczegółów swojego programu, poprzestając tylko na krytyce teraźniejszego systemu. Taka krytyka jednak nie przynosi wcale pożytku, owszem, dyskredytuje tylko szkolnictwo w opinii ogółu. Jedynie kompetentnymi do omawiania tych spraw są zawodowi pedagogowie.

Prof. **Soleski** nie dziwi się wcale rozdrażnieniu, z jakim poprzedni mowca traktuje sprawę: objawia się ona u wszystkich zwolenników dotychczasowego systemu, ilekroć ktoś się poważa ten system krytykować. Mowca omawia następnie rozmaite braki w technice szkół średnich: częste przenoszenie nauczycieli, krępowanie ich indywidualności itp.

P. **Rotter** polemizuje z pp. Ćwiklińskim i Majchrowiczem. Dziękuje pierwszemu za to, że zgadza się bodaj na dwa gimnasya bez greki. „Dopomożcie nam — powiada mowca — do zyskania uprawnień dla tych dwóch szkół, a mam wiarę, że z tych dwóch zrobi się trzydzieści.“

Prof **Fiedler** zaleca bardzo uzupełnienie nauki gimnazyalnej rysunkami geometrycznemi.

Dr. **German** jako delegat Rady szkolnej, zbija zarzuty p. Borkowskiego co do szowinizmu u nauczycieli.

Następnie omawiano punkt kwestyonaryusza, opiewający: Jakie są wadliwości dzisiejszego ustroju szkolnego w oczach rodziców i czy wynik nauki zadowala dzisiejsze społeczeństwo?

Dyskusyę nad tem pytaniem rozpoczął dr. **Stroynowski**, który na ankiecie reprezentuje Towarzystwo lekarskie, uskarżał się na to, że przeważna większość budynków szkolnych nie odpowiada wymaganiom hygienicznym. Domagał się większego pielęgnowania gimnastyki niż dotąd. To co do dotychczas pod tym względem władza zrobiła, ma motywa nie w uznaniu wartości gimnastyki jako środka wychowawczego, ale w tem, że przekonano się, iż gimnazya dostarczają coraz lichszego materyału dla wojska. Mówca poruszył potrzebę ustanowienia przy każdej szkole średniej lekarza i omawiał przeciążenie nauką szczególnie w klasach niższych. Oświadczył się w końcu imieniem Towarzystwa lekarskiego za szkołą jednolitą.

Na tem o godz. 8½ zamknięto posiedzenie.

* * *

Na dzisiejszem posiedzeniu, które się rozpoczęło o godz. 10 rano, zabrał pierwszy głos prof. **Danysz**. Obawia się on, że młodzież wychowana w przyszłej szkole jednolitej za mało będzie miała idealizmu do przeciwstawienia coraz szersze kręgi zataczającemu materyalizmowi i suchemu pojmowaniu rzeczy, do którego zmusza życie. Widzi sprzeczność w żądaniu zniesienia greki, a zatrzymania łaciny, za czem przemawiali niektórzy członkowie ankiety. Zbija poszczególne zarzuty, czynione teraźniejszym gimnazyom; zarzuty te są po większej części generalizowaniem sporadycznych usterek. Ujemne strony dzisiejszego systemu nauki dadzą się także usunąć nie radykalną zmianą tego systemu, lecz stopniowem ulepszaniem go.

Zdaniem mowcy, cała dotychczasowa dyskusya nie wykazała dostatecznie potrzeby takiej radykalnej zmiany organizacyi szkolnej, udowodniła tylko potrzebę ulepszenia metody pedagogicznej. Jednolita szkoła stała się niestety hasłem ogólnem, tak że trudno o niej spokojnie i rzeczowo dyskutować. Nikt nie może przewidzieć, jaki będzie wpływ tej szkoły na młodzież, nie trzeba tedy z młodzieżą porywczo eksperymentować. Mówca oświadcza się w końcu za zatrzymaniem dawnego systemu, bo pragnie, aby młodzież patrzyła na świat okiem nie rzemieślnika, ale Fidiasza.

Prof. **Warmski** przedkłada egzemplarz petycyi, którą rodzice uczniów rozrzucili wśród młodzieży gimnazyalnej w celu zbierania podpisów. Petycya ta zawiera żądanie szkoły jednolitej. Taki niepedagogiczny i nie ojcowski postępek rodziców musi tylko wywołać oburzenie. Tacy rodzice mogą być pewni, że dla ich synów żadna szkoła odpowiednią, żadna skuteczną nie będzie. Mowca przedstawia szczegółowo, co utrudnia naukę w gimnazyach i jak te trudności usunąć należy. Oświadcza się za taką szkołą, któraby rodzicom pozostawiła możność wybierania jak najpóźniej przyszłego zawodu dla dzieci.

Dr. **Jordan** popiera postulata dra Stroynowskiego. Porusza potrzebę wydania przepisów co do chorób zakaźnych, domaga się żeby przy wpisach do 1ej klasy gimnazyalnej przyjmowano tylko takie dzieci, u których lekarz skonstatuje dostateczny rozwój fizyczny. Protestuje przeciw mniemaniu, że władze szkolne zaprowadziwszy 2 godziny gimnastyki tygodniowo, już uczyniły dosyć, i dowodzi, że gimnastyka ma jeszcze większe znaczenie pedagogiczne niż hygieniczne. Przedstawia ze stanowiska lekarza ujemne strony matury.

Mówca nie widzi zbawienia ani w jednolitej szkole ani w zniesieniu greki. Ludzie ani temperamentem, ani zdrowiem, ani skłonnościami nie są równi; jakżeż chcieć wszystkich w jedną wcisnąć szkołę? Właśnie rozmaitość szkół to rozwój, to postęp. Nie zgadza się na to, że tylko to w szkole jest potrzebnem, co po jej ukończeniu w pamięci pozostaje i przedstawia znakomite korzyści, jakie przynosi nauka greki.

Do walki życiowej trzeba zdrowia i zapału do gorliwej pracy — należy więc starać się, żeby chłopiec zdrowia nie stracił, wyrabiać jego siły fizyczne, pozwalać mu się jak najwięcej bawić, ale nie obawiać się przeciążenia, owszem zmuszać go do wytrwałej pracy. Niech uczeń bawi się a potem pracuje twardo — jedno i drugie wyklucza próżniactwo.

Ks. Jerzy **Czartoryski** uskarża się na to, że młodzież wychodzi ze szkół z lekceważeniem religii i ideałów. Moralne wychowanie w szkołach jest niedostateczne, a rodzice mają prawo żądać go od szkoły, bo wszakże szkoła absorbuje dziecko zupełnie, odbiera je prawie rodzicom. Zwolennicy zniesienia greki i łaciny nie walczą przeciw ideałom w ogóle, bo przecież oprócz greckich i rzymskich są własne ideały i na tych można kształcić.

W końcu przedstawia mówca myśl wybrania komisyi z grona ankiety, któraby wypracowała szczegółowy program reformy. Program ten ma być przedłożonym tej samej ankiecie, którą należy zwołać raz jeszcze.

Godz. 1½, posiedzenie trwa dalej. Dziś obrady ankiety się skończą.

Część ekonomiczna.

Ceny zboża. Wiedeń 29 października. Pszenica na wiosnę 9·48; żyto na wiosnę 8·14; owies na wiosnę 6·15; kukurudza na majczerwiec 4·96. Spirytus 19·20—19·40.

Sprawozdanie banku rolniczego. Lwów 29 października 1898.

Wobec zniżki cen w Ameryce i na wszystkich targach europejskich ceny zboża od 3 dni spadły. Na chmiel usposobienie słabsze. Spirytus bez zmiany,

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica got. 8·75 do 9·—, nowa lub na termina 0·00—0·00, żyto gotowe 7·50 do 7·75, nowe lub na termina 0.00—0·00, owies obroczny stary 0.—0.00, owies nowy gotowy 6·30—6·50, jęczmień pastewny 5·50 do 6·—, jęczmień browarniany 6·25 do 7·25, rzepak 11·— do 11·25, lnianka 0.— do 0·—, groch pastewny 5·75 do 6·00, groch do gotowania 6.75 do 9·—, wyka 0·— do 0·00, bobik 0.00 do 0·00, hreczka 0·00 do 0·—, kukurudza nowa na termina 5·25 do 5·50, stara 5·75 do 6·25 chmiel nowy za 56 kl. 70·— do 120·—, koniczyna czerwona 45·— do 53·—, koniczyna biała 35·— do 45·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—, tymotka 15·50 do 17·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy 17·50 do 18·—, spirytus na termina 14·75 do 15.25.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe Izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 22 do 28 października 1898 — bez opłaty akcyzowej: Pszenica 8·70 do 8·95, żyto 7.30 do 7.40, jęczmień browarny 6·30 do 7·05, jęczmień pastewny 5.40 do 5.85, owies 6.05—6·45, hreczka 0·00 do 0.—, kukurudza zeszłoroczna 5·30—5·50, kukurudza nowa —·— do —·—, proso 0·— do 0·—, groch do gotowania 6.75 do 8·70, groch pastewny 5·60 do 5·66, soczewica —·0 do —.00, fasola 0·00 0·00, bobik 5·15 do 5·55, wyka 4·75 do 5·00, koniczyna czerwona 41·00 do 49·—, koniczyna biała 35·00 do 42·00, koniczyna szwedzka —·00 do 00·00 tymotka 15·50 do 17.50, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski —·00 do 00·—, kminek —·— rzepak zimowy 11.— do 11.50, rzepak nowy —·— —·— lnianka do 00·00, nasienie lniane 9·50 do 9·80, nasienie konopne 0.0—0.—, chmiel 143·— do 228·—, nafta zwykła 16·— do 17·—, nafta salonowa 18.50 do 19·—, łój topiony 31.50—32·—, spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontygentowany bez opłaty podatku 17.45 do 17·75.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 28 października.

Dowozy, a tem samem zaofiarowanie zboża były dzisiaj większe, jak na targach poprzednich. Korzystając z tego, właściciele młynów usiłowali ceny obniżyć, podczas gdy sprzedający nie byli do ustępstw skłonni. W tych warunkach do większych obrotów przyjść nie mogło. Ceny zboża prawie żadnej nie uległy zmianie, wogóle jednak usposobienie było słabsze, niż na targach poprzednich.

Płacono: pszenicę białą 9.40—10.—, czerwoną 9.40—9·85, żółtą 9·35—9·80, żyto n. 8.40—8.85, jęczmień browarny 6.75 do 7·50, na krupy 6.25 do 6.50, owies n. 6·20—6·60; rzepak 11.25 do 11,75, konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł., kukurudza 0.00—0.00. Wszystko za 100 kilogram.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Ograniczenia** o przyjmowaniu towarów tudzież terminów ich za i wyładowanie. Z powodu nader silnego ruchu towarowego wprowadzono w życie za zezwoleniem c. k. ministerstwa kolei z dnia 26 października b. r. l. 49.746 i odnośnie do tut. cyrkularza z czerwca 1898 l. 36.902 wystosowanego do nadawców na wszystkich liniach austryackich kolei państwowej i na kolejach prywatnych pozostających w państwowym zarządzie z dniem 1 listopada br. aż do odwołania postanowienia §. 55 ust. 1 i 2 tudzież §. 69 ust. 7 regulaminu ruchu. Wobec tego przyjmuje się obecnie towary tylko pod warunkiem zgodzenia się na tymczasowe ich przechowanie aż do czasu, gdy przewóz będzie możebny, o ile na to miejsce w magazynach kolejowych pozwoli. Równocześnie ogranicza się na sześć godzin dziennych termin za i wyładowania takich towarów, których za i wyładowanie strony wedle postanowień taryfy, same wykonać mają. Po upływie tego 6cio godzinnego terminu można zarządzić wyładowanie przez organa kolejowe na koszt i niebezpieczeństwo stron.

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 29 października. Wczoraj Koło polskie przez 8 godzin toczyło poufne obrady nad przedłożeniami ugodowemi. W dyskusyi brał także udział minister Jędrzejowicz. Najważniejszym punktem obrad była kwestya podatków konsumcyjnych. Członkowie Koła jak najbardziej stanowczo występowali przeciw podwyższeniu podatków od piwa i wódki. Postanowiono w sprawie tej prowadzić jeszcze rokowania z ministrem skarbu Kaizlem. Prócz tego omawiano postanowienia traktatu celnohandlowego, dotyczące przepisów weterynaryjnych i sprawę regulacyi waluty. Z powodu słabego kompletu ostatecznych uchwał nie powzięto.

W komisyi ugodowej również omawiana była kwestya podwyższenia podatków od piwa i wódki. Menger zażądał, ażeby nie wybierano jeszcze referenta dla tych spraw, gdyż rząd przyrzekł, że cofnie odnośne przedłożenia i zredukuje podwyższenie owych podatków. Za tym wnioskiem byli pp.: Spens, Chiari i Verkauf, przeciw niemu przemawiali pp.: Zedtwitz i Biliński. Po dłuższej dyskusyi zaproszono ministra Kaizla, który był właśnie w gmachu parlamentu, by dał wyjaśnienie co do zamiarów rządu, a gdy minister oświadczył, że nie może na razie podać jak wysoką będzie redukcya podatków od piwa i wódki, przyjęto wniosek p. Mengera.

Monachium 29 października. Proces poety norwegskiego Björnsona przeciwko dziennikowi *Münchener Neueste Nachrichten*, będący w związku z sprawą Dreyfusa, skończył się ugodowo. — Wielu ludzi, żądnych sensacyi, doznało w ten sposób niemiłego zawodu. Antecedencye tego procesu były następujące: Björnson swego czasu ogłosił list otwarty do Zoli o sprawie Dreyfusa, w którym przytoczył słowa wypowiedziane rzekomo przez kanclerza niemieckiego ks. Hohenlohego w rozmowie z malarzem monachijskim, Lenbachem. Wspomniany dziennik ostro zganił ów list, zwłaszcza wciąganie do tej sprawy kanclerza. Björnson wniósł skargę przeciw redaktorowi, teraz zaś oświadczył przez swego zastępcę, że w każdym razie pragnie spór załatwić ugodowo. Redaktor przyznał, że nie chciał osobiście Björnsona obrazić, zaznaczył jednak, że obstaje przy krytyce przedmiotowej, wyrażonej w owym artykule. Björnson ponosi koszta całego postępowania.

Paryż 29 października. Sekretarza ministra oświaty Bourgeois, nazwiskiem Ferrario znaleziono wczoraj w biurze zastrzelonego kulą rewolwerową. Niewiadomo dotąd, czy Ferrario popełnił samobójstwo, czy też padł ofiarą czynu zbrodniczego.

Paryż 29 października. Dupuy przyjął misyę utworzenia nowego gabinetu. Wczoraj konferował on z Delcassé'm, który zatrzyma tekę spraw zagranicznych. Jako kandydatów do reszty tek wymieniają: Constansa (sprawiedliwość) Bertoux (oświata), Freycinet (wojna). Lockroy podobno pozostanie nadal ministrem marynarki. Dziennik *Eclair* nazywa przyszły gabinet „wielkiem ministerstwem“, powołanem do obrony honoru armii i ocalenia narodu francuskiego.

Paryż 29 października. Dziennik *Matin* donosi, że okręt wojenny „Dubordieu“ czeka w Fort de France na rozkaz zabrania Dreyfusa z Wyspy Dyabelskiej. Reporter tego pisma Jean Hess opowiada, że podstępnie dotarł aż do Wyspy Dyabelskiej i przekonał się, iż Dreyfus ma się dobrze i jest powiadomiony o teraźniejszym stanie jego sprawy. Wysoki mur, otaczający jego chatę, jeszcze istnieje. Dokąd Dreyfus ma być przewiezionym, tego się Hess nie dowiedział.

Paryż 29 października. Na dzisiejszej rozprawie w trybunale kasacyjnym adwokat pani Dreyfus Mornard prosił, ażeby zarządzono uzupełniające śledztwo i domagano się wydania wszystkich tajnych aktów tej sprawy. Następnie przemawiał prokurator generalny Manau i oświadczył, że trybunał kasacyjny w żadnym razie nie może znieść wyroku bez przekazania sprawy innemu sądowi wojennemu. Skoro niewinność Dreyfusa będzie ustalona, trzeba będzie energicznie się zająć odkryciem istotnego winowajcy. Ostatecznie wniósł unieważnienie wyroku, skazującego Dreyfusa i odesłanie sprawy przed inny sąd wojenny. W sprawie wydania trybunałowi tajnych aktów podobno wczoraj konferował tymczasowy kierownik ministerstwa wojny Lockroy z szefem sztabu jeneralnego Renouardem. Opowiadają, że pani Dreyfus otrzymała od męża list własnoręczny, w którym Dreyfus oświadcza, że zwątpił już o swej rehabilitacyi.

Ludność Paryża z ogromnem zaciekawieniem śledzi bieg wypadków, spokój publiczny atoli nigdzie nie został zakłócony.

Paryż 29 października. Dzienniki tutejsze sądzą, że trybunał kasacyjny dziś rozstrzygnie o rewizyi procesu Dreyfusa i przyjmie wnioski ostateczne swego referenta w sprawie zarządzenia uzupełniającego śledztwa. W *Siécle* utrzymuje Yves Guyot, że tajne dokumenty zostały przed paru dniami spalone. *Eclair* pisze, że gdyby Freycinet odmówił przyjęcia teki ministra wojny, żaden jenerał również jej nie przyjmie.

Londyn 29 października. „Biuro Reutera“ donosi z Kairu, że komandor Marchand opuścił w niedzielę Faszodę i przybył dziś rano do Chartumu, a jutro uda się w dalszą podróż do Kairu. Inni Francuzi pozostają w Faszodzie. Odjazdu Marchanda nie uważają za uregulowanie sporu o Faszodę.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 29 października. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 209.00 do 211·00. Kolej Lwowsko-Czern-Jasska po 200 zł. w. a. 290.00 do 293·00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 375.— do 385.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205.— do 212 —. Tow. budowy wagonów w Sanoku 260 — do 265.— Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 208.50 do 211.00.

Listy zastawne za 100 zł: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat a 10 proc. prem. 110.00 do 110.70 4 i pół proc los. w 50 lat 100.00 do 100.70, 4 proc. los. w 60 lat 96.50 do 97.20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.90 do 101.60. Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 56 lat 94·75 do 95·45.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97.10—97.80, Bukowińskiego fund. propin 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.30 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do —.—. Pożyczki kraj. 6 proc. 104·00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 97·30 do 97·90, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 94·80 do 95·50.

Monety. Dukat cesarski 5.62 do 5.72 Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 127·30 do 128·30. 100 marek niemieckich 58.70 do 59·10.

Wiedeń 28 października. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 351.—, węgierskie akcye kredytowe 381.—, anglobanku —.—, bankvereiny —.—, unionbanku 290.50, laenderbanku 220·75, staatsbahny 351.00, lombardy 69.—, elbethale 261·50, akcye tytoniowe 122.—, rima 262.50, alpiny 175·40, renta majowa 100·95, renta koronowa węgierska 97.60, losy tureckie 57.00, marki 58.93, ruble —·—.

7)

REGINA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

JULIUSZA LERMINA.

(Ciąg dalszy).

Markiza wyciągnęła rękę.

— Oddaj mi je waćpan — rzekła.

Człowieczek ani drgnął.

— Wahasz się waćpan.... Wszak kazano ci zaufać mi w pełni?

— Nieinaczej, pani markizo, ale trzymamy się pewnych zasad i zwyczajów.

— Nie rozumiem.

— Jeżeli pani markiza pozwoli, to będę miał zaszczyt podyktować jej to, co było dyktowanem.

Regina uśmiechnęła się, rada była z takiej ostrożności.

Spiskowiec jest zawsze trochę dziecinnym. Każdy krok i postępek, osłonięty tajemnicą, wydaje się bardziej uroczystym i niebezpiecznym.

— Niech i tak będzie — odrzekła.

— Stosuję się tylko do rozkazów mojego pana, księcia Otranto.

— Dyktuj waćpan.

Usiadła przy biurku z piórem w ręku.

Wówczas Baudus, zausznik ministra policyi, wytrawny intrygant, dopomagający do zadzierzgania sieci, które Fouché na swoich przeciwników zarzucał tak zręcznie — otóż Baudus odczytał głośno, zatrzymując się, aby markiza miała czas pisać, całe dwie stronnice notat — plan szczegółowy kampanii, która miała się rozpocząć za dni parę.

Markiza dopuszczała się poprostu zdrady stanu, a celem jej było: pokrzyżowanie tych planów, kosztem Francyi, na korzyść zagranicy; dopuszczała się tej zdrady w najlepszej wierze, sądząc, że tem zbawia ojczyznę.

— Zawsze ten sam system — mówiła. — Napoleon spodziewa się rozdzielić swych wrogów i zwyciężyć ich kolejno. Na szczęście jednak koncentracya dokona się dość wcześnie, aby temu zapobiedz. Czy to już wszystko? — spytała Baudusa.

— Tak, pani markizo. A teraz niech mi wolno będzie się zapytać, jaki pani użytek z tych informacyi zrobi?

— Czy waćpan masz ochotę pisać i pod mojem dyktandem?

— Nie pani, chcę tylko panią markizę uprzedzić, że niebezpiecznie zachowywać takie dokumenty u siebie w domu, bez względu na to, czyją ręką pisane... i że w czasach obecnych należy mieć się na baczności. Rewizya w każdej chwili jest możliwą.

— Rewizya? Czyżby p. Fouché się ośmielił?

— Ks. d'Otranto nie ośmiela się na nic z własnej woli i inicyatywy, gdyby jednak rozkazy otrzymał, musi im być posłusznym.

— Więc mnie podejrzywają?

— Kto wie?

— Jest nas tu dwoje tylko: waćpan i ja; któżby mógł nas zdradzić?

— Nie można nigdy wiedzieć, czy się jest sam na sam.

— Dobrze. Bądź pan spokojny, przedsięweźmę wszelkie środki ostrożności.

Otworzyła szufladę, wyjęła z niej sakiewkę, przez której oczka przezierało złoto i podała ją p. Baudus; on jednak cofnął się z głębokim ukłonem i rzekł:

— Pracujemy dla honoru, pani markizo.

W głosie jego brzmiała oczywista ironia.

Markiza rzuciła sakiewkę do szuflady z widocznem niezadowoleniem. Następnie zadzwoniła i kazała odprowadzić małego człowieczka.

Wyszedł. Regina pozostawszy sama, siedziała długo w zadumie. Po raz pierwszy odczuwała pewne wyrzuty sumienia, po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że stawia się na jednym niemal poziomie z takimi ludźmi, po raz pierwszy ukazywało jej się widmo Francyi, szarpanej na wszystkie strony, mordowanej przez własne dzieci.

Ale uspokoiła się niebawem.

— To nie Francya — powiedziała sobie — lecz Napoleon.

Usiadła znowu przy biurku i zadzwoniła.

Jak pan wicehrabia przyjdzie — rzekła do służącego — to wprowadzisz go do mojego oratoryum. Oczekuję także pewnego jegomościa.... żeby nie było pomyłki w osobie.... ma ci pokazać białą kokardę. Wprowadzisz go tutaj.

Gdy się drzwi zamknęły, markiza, wodząc pięknym paluszkiem po mapie topograficznej, śledziła przypuszczalne ruchy armii, które miały się nad flamandzką granicą zetrzeć.

IV.

Laverdière, otworzywszy sobie drzwi przebojem, wpadł do kawiarni, potrącił ojca Loriot, który go chciał zatrzymywać, dojrzał drugie drzwi boczne, za szynkwasem, podbiegł do nich, wywalił je i jak tropiony zwierz rzucił się w jakieś podwórko, przeskoczył przez stos pustych beczek, potem niski murek przesadził i wreszcie znalazł się wśród powozów najrozmaitszego kształtu i rozmiaru.

Był to jeden z dalszych dziedzińców pocztowych.

Chcąc się wysapać po tylu trudach, Laverdière, na chybił trafił, otworzył jeden z dyliżansów i całym ciężarem padł na poduszki.

— No, nareszcie — jęknął. — Człowiek sobie wypocznie. Co też mi się stało. Jakiś chłystek mnie wyzywa, a ja, którym nigdy nie chybił najpierwszych nawet szermierzy, daję się zbić z tropu przez dziesięciorzędną szpadę. Tracę głowę — i dlaczego — dla głupiego okrzyku tłumu, dla kilku podniesionych pięści. Wystraszyłem się, jak tchórz — ja — ja!

Zastanowił się chwilkę.

— To niepojęte — rozważał — ja się nigdy nie bałem. Dziś rano zamordowałem człowieka. Raz, dwa i już było po wszystkiem. Ten nieszczęsny jakobin padł i ani zipnął.

Dreszcz przebiegł po skórze awanturnika.

— Kłamię — szepnął — kłamię sam przed sobą — to zbyteczne! On więcej, niż zipnął, on mi powiedział.. nie lubię nawet wspominać, co on mi powiedział: „To morderstwo nieszczęście ci przyniesie..." Morderstwo — dlaczego morderstwo? Wszak to był pojedynek? I czemuż miałoby mi to nieszczęście przynieść? Głupstwo!... A jednak ta przepowiednia wcale mi się nie podoba. Już raz mi przepowiedziano, że umrę z ręki kogoś, kogo będę kochał. Dlatego to w życiu mojem nie kochałem nikogo — na wszelki wypadek. To pewniejsze.

Rozciągnął się na ławce, tak, iż nie można go było dojrzeć z zewnątrz.

— Nieszczęście mi przyniesie — powtarzał.— Głupstwo... Ja przecież pełnię tylko swoją powinność. Jestem żołnierzem... bronię swojej sprawy, jak rozumiem... człowieka tego nie znałem, więc go nie zabiłem z nienawiści... Byłem narzędziem w ręku wyższem. Działałem dla naszej sprawy... To nie przeszkadza, że przed chwilą omal, że mnie nie wzięto na rożen, jak kurczę. Ten wicehrabia, to zuch nielada, a przytem paliły mnie oczy tej dziewczyny... ładna szelmutka, ani słowa... a przytem... Urwał nagle.

— To dziwna — mruczał — jej twarz przypomina mi inną... cóż znowu? Czyżbym niedołężniał... O, nie! Mam jeszcze siły niespożyte... bystre oko, dzielną rękę... i dla takiego głupstwa miałbym sobie wbijać ćwiek w głowę... Bądź co bądź jednak dzisiejsza sprawa nieszczęście mi przyniosła... teraz chodzi o to, aby się stąd wydostać, nie spotkawszy nikogo... Ale znajdę sposób wyjść stąd niepostrzeżenie... W gorszych już bywało się opałach.

Kapitan podniósł się, wysunął głowę przez okno i chciał już drzwiczki otwierać, gdy nagle usłyszał głosy:

Rozmawiano za dyliżansem.

Laverdière nadstawił ucha.

— Więc zrozumiałeś? — odezwał się głos jakiś. — O dziesiątej, na rogu ulicy Eperon. Dom niski. Zapukać sześć razy, w pewnych przerwach, po dwa uderzenia odrazu. Powtórz mi hasło.

— *Pro virtute*...

— Odpowiedzą ci: — *Pro patria.*

— A pewien-żeś jesteś, że znajdziemy tam owych ludzi?

— Tak pewien, jak, że cię widzę przed sobą.

— A nie będzie-li tam szpiegów?

— To niemożliwe. Wszelkie ostrożności zachowane. Znaki co tydzień się zmieniają. Dziś, jak ci wiadomo — ręka prawa położona na lewem ramieniu.. i maska... chcćby policyanci Buonapartego byli czujniejsi nawet, niż są, to jeszcze nie domyślą się niczego.

— Brawo! Oby Republika...

Trzej spiskowcy oddalili się.

Laverdière ani drgnął: nie należał do ludzi, którzy nagłem ukazaniem się, przeszkadzają podobnym rozmowom.

Ma się rozumieć, nie stracił z niej ani słowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski.
Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej.
Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka. Hotel George'a.